Nr. 197. Lwów — Wtorek dnia 30 Sierpnia. Rok 1898.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „

Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i w Austryi miesięcznie [illegible] w Niemczech [illegible] w innych państwach [illegible] Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct. Opłaty należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: [illegible]

Nadesłane na trzeciej stronicy!
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 20 ct. | Nekrologia . . . 20 ct.
Ogłoszenia do Przeglądu przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym 30 ct. od wiersza.

Dziś: św. Róży z Limy | Flora i Ławra
Jutro: św. Rajmunda W. | Andreja M.

Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*

Wschód słońca o g. 5 m. 22
Zachód „ „ 6 „ 38

Długość dnia g. 13 m. 16
Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

Czas odnowić przedpłatę!

Wynosi ona na prowincyi:
Miesięcznie 1 zł. 10 ct.
Kwartalnie 3 „ 30 „
Półrocznie 6 „ 60 „
Rocznie 13 „ 20 „

Za zmianę adresu dopłaca się 20 centów.

Przegląd polityczny.

Lwów 29 sierpnia.

Wczoraj w Moskwie odbyła się wielka uroczystość, podniesiona do znaczenia narodowej. Ze wszystkich końców olbrzymiego państwa przybyły na nią deputacye od warstw społecznych, instytucyj, pułków i zakładów naukowych; przybyli także przedstawiciele państw obcych, przybyła rodzina cesarska i sam cesarz Mikołaj, który po długich ceremoniach cerkiewnych odsłonił pomnik dziada swego Aleksandra II, zwanego przez Rosyan oswobodzicielem, reformatorem i męczennikiem, monarchą, zajmującym w historyi rosyjskiej miejsce tuż obok Piotra I. Wzniesienie mu pomnika było dziełem trudnem, ponieważ chciano, aby on nietylko zajął wybitne miejsce między utworami sztuki rzeźbiarskiej, ale żeby zarazem był jakby w spiż zaklętą pieśnią o wszystkiem, co Rosya przeżyła pod rządami tego cara. Więc były aż trzy konkursa na modele, wydano na to przeszło 70 tysięcy rubli i nie przyjęto żadnego projektu. Po kilkoletnich próbach konkursowych, zamówiono model u inżyniera Sułtanowa i rzeźbiarza Żukowskiego, poczem od roku 1890 budowano ten pomnik, który podobno jest bajecznie kosztowny, kolosalny, ale o jego artystycznej wartości nic nie słychać.

Bo też trudno było artystom zaczerpnąć natchnienia z duchowej postaci tego cara. Dokonano przy nim wiele niezmiernie ważnych reform: uwolniono chłopów z poddaństwa, zniesiono osobną kastę popów, których dzieciom pozwolono zajmować urzędy cywilne i wojskowe, oddzielono sądownictwo od administracyi politycznej i policyjnej, zaprowadzono sądy jawne z udziałem ławy przysięgłych, miastom dano prawo wybierania rad, wreszcie stworzono instytucye autonomiczne, zwane ziemstwami. Aleksandrowi II nie brakło także sukcesów na niwie polityki zdobywczej: zagarnął Kaukaz, Azyę Środkową, kolosalny kraj nadamurski, część Anatolii i lewy brzeg ujścia Dunaju. Ale wszystkie te dzieła były dokonane pomimo jego woli; on zawsze ostatni przykładał do nich rękę, a czynił to z wielką niechęcią, z żalem i ze łzami. W ogóle był sentymentalny, wola jego była podobna do czółna, miotanego przez wzburzone fale; a były fale reformowych dążeń narodu. Zawsze popychany przez innych, stworzył w Rosyi nową historyczną erę — erę panowania biurokracyi. Później, kiedy tę biurokracyę obsiadł żywioł popowski, kiedy popowicze, powołani przez Aleksandra II do zajęć cywilnych i wojskowych, sprzymierzywszy się z krewnymi swymi popami, zagarnęli pod siebie wszystkie sprawy państwowe, zaczął się przy Aleksandrze III despotyzm czynowniczo-popowski.

„Zachodzi się najdalej, gdy się nie wie, dokąd się idzie“ — powiedział Robespierre, kompetentny w tej kwestyi, ponieważ będąc zasadniczym przeciwnikiem kary śmierci, ściął na gilotynie niezliczoną liczbę ludzi. Aleksander II również zniósł karę śmierci, a jednak przy nim kat nigdy nie próżnował. Bo ten car nigdy nie wiedział, dokąd go prądy zaniosą i co każą mu zrobić. Zaraz pierwszy jego manijest po wstąpieniu na tron (2 marca 1855 r.) zapowiadał walkę do upadłego na polach sebastopolskich, a w kilka miesięcy potem, nie uczyniwszy żadnych wysiłków, zawarł pokój. Kiedy w r. 1857 wrócił z Paryża, szlachta litewska w gorącej petycyi prosiła go o uwolnienie włościan. Do tej prośby wnet przyłączyła się szlachta podolska. Car pochwalił humanitarne uczucia petentów i zgromadzeniu marszałków szlachty rosyjskiej zalecił naśladować Polaków. Ale w kilka miesięcy potem nakazał tłumić „ruch emancypacyjny“ — bo tak wówczas nazywano dążność do zniesienia pańszczyzny — i rzeczywiście zaczęto ów ruch tłumić coraz surowiej, nawet deportacyami na Sybir. Nie dało się jednak cofnąć tego, co uczyniły „złote hramoty“, odczytywane chłopom przez polskich powstańców, i oto 3 marca 1863 roku wyszedł ukaz, znoszący pańszczyznę. Przytoczymy jeszcze jeden dowód na to, że nie miał car woli, ani wytkniętego kierunku. W r. 1865 przybył car do Moskwy, powitała go cała tamtejsza i jarosławska szlachta petycyą o dopuszczenie jej do głosu w sprawach wewnętrznego rządu, inne gremia szlacheckie wnet przyłączyły się do tej prośby, lecz car odpowiedział pamiętnym reskryptem, w którym oświadczył, że prawo rządzenia należy wyłącznie do niego i że od tej atrybucyi, danej mu przez Boga, a odziedziczonej po przodkach, nigdy na włos nie odstąpi i przekaże ją w całości swym następcom. Było to na wiosnę, a w jesieni tegoż roku wprowadził powiatową i gubernialną autonomię, oddając wybieralnym „ziemstwom“ cały wewnętrzny zarząd w sprawach szkolnych i ekonomicznych, oraz prawo wyrażania opinii w kwestyach prawodawczych.

W stosunku jego do Polaków miało mniejsze znaczenie powstanie w r. 63-cim, aniżeli dwa zamachy na jego życie. Po powstaniu często powtarzał ojcowskie słowa: „Winnych karać, a nie kraj.“ Lecz kiedy w kwietniu 1866 strzelał doń w Petersburgu Dymitry Karakozow i kiedy zaraz w pierwszej chwili zgłoszono, że był to Polak, wnet zaczęło się prześladowanie powszechne. Wprawdzie okazało się, że strzelał Rosyanin z nad Wołgi, ale Murawjew Wieszatiel, zamianowany prezesem komisyi śledczej, zdołał sprawę przedstawić jako intrygę polską. Rozszerzono teraz ukaz, zakazujący szlachcie polskiej nabywania ziemi, na wszystkich katolików; określono, że w szkołach, wojsku i na urzędach cywilnych w Rosyi, może być najwięcej 5% Polaków; pozwolono im w rosyjskich guberniach kupować ziemię tylko pod warunkiem, że trzech obywateli rosyjskich poręczy za lojalność tej kupującej ziemię osoby „polskiego pochodzenia“. Kiedy zaś następnie 6 czerwca 1867 w Paryżu strzelił do Aleksandra II emigrant Antoni Berezowski, car, ledwo wrócił do państwa, zaraz rzekł do witających go na dworcu: „Macie pamiętać, że to gniazdo nieodłączną częścią Rosyi i że powinniście dbać, i ciałem i duszą z narodem rosyjskim“. Stronnictwo katkowowskie zatryumfowało, gdyż od tej chwili zaczęła się burząca wszystko polityka rusyfikacyjna i nawracanie bagnetami unitów.

Pod wpływem reform wytworzył się w Rosyi niepohamowaną żądzę coraz nowych i coraz większych zmian w kierunku konstytucyjnym, a ponieważ rząd już ustał na tej drodze, więc w społeczeństwie wytworzył się nihilizm, który szerzył mordy i zamachy na cara. Sołowjew strzelał doń w Petersburgu 14 kwietnia 1879 r. i nie wydawszy wspólników, zginął na szubienicy. Tegoż roku 1 grudnia tajemniczy Sasza, którym jest podobno Hartman, zbiegły za granicę, podłożył minę pod szyny kolei żelaznej, gdy car wracał z Liwadyi do Moskwy, lecz wybuch zburzył tylko wóz pakunkowy. W następnym roku 17 lutego podłożono minę pod carski pałac Zimowy i część jego wysadzono w powietrze, przyczem zginęło kilkudziesięciu żołnierzy pułku gwardyi finlandzkiej. W skutek tych zamachów car ogromnie upadł na duchu, zaczął ogromnie pić, potajemnie ożenił się z księżniczką Dołgorukową, sprawy państwowe powierzył hr. Lorys-Melikowowi, dawszy mu niemal dyktatorskie przywileje, w końcu podpisał projekt konstytucyi, lecz zanim go zdołano opublikować zginął na ulicy, dnia 13 marca 1881 r., rozszarpany w skutek wybuchu bomby, rzuconej przez nihilistów pod jego sanie. Podpisaną przezeń konstytucyę rozdarł jego następca, a jego reformy przerobił tak, że z wielu z nich została tylko nazwa.

Pomnik tego cara — oswobodziciela, reformatora i męczennika — odsłonięto wczoraj w Moskwie. Pamięci jego pokłoniła się Rosya, uczciły go państwa europejskie przez swych przedstawicieli. Naród przy tej sposobności przypomni sobie przeżyte dni wielkich nadziei i wielkich nieraz radości, a potem — smutków i rozczarowań.

Projekty powiększenia armii lądowej w jakiembądź państwie nie mogą być obojętne dla nikogo, ponieważ na polu militaryzmu wszystkie mocarstwa odbywają wyścigi bardzo gorliwie. Z tego powodu zasługuje na uwagę projekt niemiecki, który będzie przedstawiony parlamentowi zaraz po jego zwołaniu, przyczem już półurzędowo zapowiedziano, że parlament będzie rozwiązany, jeżeli nie przyjmie tego projektu. Przed kilku laty utworzono w Niemczech „na próbę“ dziewięć pułków dwubatalionowych. Było to powiększenie liczby bagnetów o 32 tysiące, ale mówiono wówczas, że chodzi nie o zwiększenie siły zbrojnej, jeno o próbę, czy dobre będą pułki dwubatalionowe. Ponieważ podobnych prób nie wolno robić z pułkami już istniejącymi, bo można zwichnąć całą organizacyę, przeto parlament zgodził się na formacyę dziewięciu pułków nowych po dwa bataliony w każdym. Teraz ministeryum wojny oświadcza, że dwubatalionowe pułki okazały się złe, ale nie proponuje ich rozwiązać, jeno chce dodać każdemu trzeci batalion. Chodzi zatem o zwiększenie piechoty o 16 tysięcy żołnierzy; nadto zaś artylerya polowa koniecznie musi być liczniejsza i trzeba coś dodać kawaleryi, aby nie było jej mniej niż potrzeba w stosunku do piechoty i artyleryi. To wszystko można zrobić, ponieważ ludność się powiększyła. Zgadzają się z tem junkrowie i liberałowie, ale ich spółka nie stanowi w parlamencie większości, która należy do centrum katolickiego, postępowców, stronnictw narodowych i socyalistów. Otóż dotąd wiadomo tylko, co o tym projekcie myślą postępowcy i socyaliści. Odrzucają oni projekt, dowodząc, że już i tak o cały jeden procent, czyli o 34 000, więcej się bierze żołnierzy, niż wypada podług zasadniczych ustaw. Ale nadto wskazują oni na to, że za tym projektem niebawem nastąpi drugi, ponieważ zawiera on postanowienie, że jedynasty korpus będzie podzielony na dwa korpusy. Podział ten jest konieczny dlatego, że ów korpus jest za duży, ma trzy dywizye, gdy wszystkie inne mają po dwie. Lecz postępowcy i socyaliści powiadają, że dwa korpusy, zrobione z jednego, będą znów za małe równo o brygadę każdy, czyli razem o dywizyę. Jeżeli więc teraz parlament zgodzi się na podział korpusu jedynastego, to po jakimś czasie będzie musiał uchwalić formacyę nowej dywizyi. O tę sprawę tak namiętnie kłócą się dzienniki niemieckie, że zapomniały nawet o strasznem niebezpieczeństwie, grożącem mocarstwu niemieckiemu ze strony Poznania.

Korespondencye.

Wiedeń 27 sierpnia.

(y) W ostatnich czasach dają się w pismach naszych słyszeć coraz to częściej zdania, że „nie powinniśmy się poświęcać dla Czechów“, że „alians z nimi nas do niczego nie doprowadzi“ etc. etc. Głosy te i zdania mają tylko jeden cel: dowodu *a contrario*, że powinniśmy się „poświęcić“ dla Niemców, aby ich wyprowadzić z tej czeluści bez wyjścia, w jaką ich popchnął bunt parlamentarny, a toby może nareszcie i „doprowadziło“ głoszących takie zdania na owe wyżyny, do których pną się zbyt długo.

Otóż przypatrzmy się, jakie uczucia żywi dla Polaków ów liberalny Niemiec z opozycyi, dla któregobyśmy się mieli „poświęcać“. Organ a właściwie mistrzyni i nauczycielka jego *Neue freie Presse* zajmuje się we wczorajszym numerze długo i obszernie sprawą polską pod trzema zaborami, a równie zaciętej i jadowitej elukubracyi dawno już nam się nie zdarzyło spotkać.

Aby podobny napad ni stąd ni z owąd jakoś usprawiedliwić i nadać mu cechę aktualności, a zarazem zamaskować właściwy jego cel polityczny, rozpoczyna się artykuł tak, jak gdyby go wywołało oburzenie na zachowanie się pism polskich w obec śmierci Bismarka. Wypadek ten dał Polakom według *Neue freie Presse* sposobność do zdemaskowania namiętnej nienawiści politycznej, nie krępowanej ani uznaniem dla historycznej wielkości Bismarka, ani dla majestatu śmierci. To stanowisko prasy polskiej ma nauczyć Niemców, że Niemcy muszą raz na zawsze zerwać z polityką sentymentalizmu w obec Polaków, a postępować jedynie drogami, wytkniętemi przez żelaznego kanclerza.

Potem następuje górnolotna apoteoza zwycięzcy Austryi z pod Sadowy, którego polityką eksterminacyjną przeciw Polakom nazywa dziennik wiedeński „polityką kulturną w całem znaczeniu tego słowa“; komisya kolonizacyjna, ten najohydniejszy wynalazek końca bieżącego wieku, ta potworna myśl, która się zrodzić mogła tylko w stronniczym i bezwzględnym zarazem mózgu krzyżaka, znajduje najgorętszy poklask wiedeńskiego pisma, które nazywa ją symbolem „des energischen Zuges“ wiejącego przez wschodnie prowincye niemieckiego cesarstwa. Wreszcie nie szczędzi ono słów zachęty dla obecnej polityki Prus w ks. Poznańskiem i odnośnie do wzmagającego się coraz bardziej prześladowania Polaków woła, że „lud niemiecki nie byłby godnym swego narodowego bohatera (Bismarka) gdyby nie działał nadal po jego myśli“. Rozprawiwszy się w ten sposób z Polakami pod rządem pruskim, przechodzi z kolei do Polaków pod rządem rosyjskim. Jak gdyby czerpał wiadomości swe wprost z Carskiego Sioła czy Zimowego Dworca, udaje dziennik ten, że wie najdokładniej jakie Car Mikołaj żywi uczucia wobec Polaków i z niesłychaną perfidyą nawołuje ich, iżby się od rządu rosyjskiego niczego nie spodziewali.

Ale tu już szydło z worka wychodzi i to w najśmieszniejszy sposób. Bo po poszczuciu Rosyan na nas „jako na rewolucyjną szlachtę i kler“, co jednak jest nam dość obojętnem, bo nie bardzo nam się chce wierzyć we „wpływy“ dziennika z Fichtegasse na rządowe sfery w Petersburgu, po zaręczeniu, że o „zgodzie między Rosyanami a Polakami mowy być nie może“, zwraca się nagle *Neue freie Presse* do Czechów i tak pisze: „Przez zbratanie się swoje z Polakami mogliby łatwo i Czesi postradać sympatyę, którą ich darzy Rosya. Dzisiejsza polityka Rosyi liczy się tylko z prawdziwymi wielkościami i nie chce nic wiedzieć o Polakach, tych arcywrogach prawosławnego kościoła“.

Rzuciwszy tak niby mimochodem te zdania, przechodzi *Neue freie Presse* znowu do stosunków w Poznańskiem i rozpływa się nad przyszłą niemieckością tej prowincyi. Entuzyazm wiedeńskiego dziennika jest tak przesadnym, że w tej przesadzie już choćby widać, iż chodzi o stworzenie przekonania, że alians z narodem, którego przyszłość się tak smutno przedstawia, może raczej zaszkodzić, niż pomódz. To też treścią jego zajmować się nie będziemy, ale pominąć go nie było można choćby dla jego ukrytej aktualności, a zarazem dla ważnej w obecnej chwili nauki.

Za *Neue Freie Presse* stoi cały obóz opozycyi niemieckiej w Austryi. Jest ona najwierniejszem odbiciem jego myśli, zwierciadłem jego ducha. Jest nadto dowodem, jak pangermańska zasada coraz bardziej zdobywa gruntu i staje się głównym moralnym motorem Niemców w Austryi, oczywiście z wyjątkiem katolików. Nie darmo też organ tych ostatnich *Linzer Volksblatt* słusznie podniósł, że wobec takich prądów wśród Niemców w Austryi, Czesi stają się warownią i ochroną państwa austryackiego przed państwem niemieckiem. Nie darmo ten sam organ nawoływał przed kilku dniami do skupienia się bardziej zwartego żywiołów prawicy. Że taki artykuł monitora opozycyi, jak dzisiejszy, skuwa najsilniejszym pierścieniem dłoń polską i czeską, że pangermanizm wiejący z jej szpalt, ścieśnia coraz bardziej stosunek nasz z prawdziwymi i jedynymi pośród Niemców austryackimi patryotami, którzy stoją pod sztandarem katolickim, to rzecz oczywista. Nic też dziwnego, że takie bryzganie jadem z zamiarem rozerwania politycznych węzłów, łączących narody, nietylko nie dopina celu, ale wręcz przeciwny wywołuje skutek.

Co i o czem piszą.

W artykule p. t. „Próba warcholstwa“ omawia *Kraj* petersburski, a więc sędzia bezstronny, bo zdaleka na wypadki galicyjskie patrzący, znany Zjazd nauczycieli w Stryju. Niechże ci panowie przeczytają uważnie następujące słowa petersburskiego *Kraju*. Oto, co on pisze:

Gdy p. Stanisław Tarnowski parę tygodni temu napisał, że szkoła ludowa w Galicyi zawiodła oczekiwanie, spotkały go ze strony publicystów postępowych zarzuty namiętne i ciężkie. Zdarzyło się, że natychmiast potem stukilkudziesięciu nauczycieli ludowych zjechało się w Stryju dla radzenia o potrzebach szkoły i stanu nauczycielskiego. Dziś nie tają nawet bardzo postępowi publicyści galicyjscy, że to, co tam uchwalono, stanowi bolesny zawód dla wszystkich. Nauczyciele galicyjscy niezadowoleni są z małej płacy, a więc zjazd stryjski, na którym rej wiedli posłowie Stapiński i Winkowski, postanawia, iż ze skargą na Sejm galicyjski trzeba się udać do Wiednia. Nad tem, że w sprawach budżetu krajowego żadna władza wiedeńska rozkazywać Sejmowi nie może, nie zastanawiano się wcale, natomiast dla zjednania sobie Wiednia, uchwalono na tem samem zebraniu, iż nauka języka niemieckiego ma być ze szkół wiejskich usuniętą. Radykalizm przywódców wiecu nie przeszkodził zgromadzonym uchwalić wyrazów wierności *für Kaiser, Gott und Vaterland*, a tę lojalność umiano znowu pogodzić z oburzeniem i pogardą dla Rady szkolnej i polskiego Towarzystwa pedagogicznego. Już z tego widzimy, że uchwał podobnych nie spotyka się codzień. Ale nie na tem koniec. Uchwalić kilka rezolucyj, z których pożytku nie będzie, to dla wiecowników pociecha za mała. Wiec stryjski nie może poddać Sejmu galicyjskiego pod komendę ministrów austryackich, uczestnicy mogą jednak ulżyć sobie przez udzielanie nagany i wyrażenie pogardy, komu im się tylko podoba. Jest od tego osobna formuła. Galicyanie zapożyczyli jej u Czechów. Wnioskodawca wymawia nazwisko zdrajcy, a zgromadzenie woła chórem: „hańba“. Jest to ładne i efektowne.

Opowiedziawszy następnie niektóre uchwały tego warcholskiego wiecu, kończy swój artykuł *Kraj* jak następuje:

O usposobieniu chłopa galicyjskiego mówią nam ostatnie rozruchy; o pojęciach nauczycieli, wychowujących jego dziatwę, mówi wiec stryjski. Mamyż dodawać, że obraz to smutny? Między uchwałami wiecu stryjskiego wyróżnia się jedna. Demokraci, radykaliści, ludowcy, żądają w imieniu całego swego stanu — mundurów dla nauczycieli wiejskich. Dziś, gdy chłop w wielu okolicach zrzucił sukmanę, nauczyciel nie odróżnia się strojem od innych mieszkańców gminy. Program radykalno-demokratyczny rozkrzewi się dopiero wówczas, gdy nauczyciel będzie miał galon z przodu, a dwa metalowe guziki z tyłu. To jest postęp prawdziwy;

---

10)

FATALNA DEWIZA

POWIEŚĆ
przez
WINCENTEGO hr. ŁOSIA.

(Ciąg dalszy).

Ale nie. Doktor zbliżył się do nas, otarł pot z czoła, odetchnął i szepnął z wysiłkiem, gdyż był niesłychanie niebezpieczną operacyą zmęczony:

— Udało nam się, kula wyjęta.... Hrabia żyć może....

— Może? — zawołałem.

— Może.... — powtórzył z naciskiem — jeśli będzie otoczony najtroskliwszą opieką, jeśli przetrwa szczęśliwie kryzys dnia trzeciego i jeśli organizm jego wytrzyma ranę i operacyę; jeśli wreszcie nie wda się zapalenie płuc, co jest bardzo możliwe i choroba się nie skomplikuje.

Odetchnęliśmy. Keresza mógł żyć. Było lepiej aniżeliśmy przewidywali. Sekundanci Szaparego postanowili natychmiast opuścić zamek, ja zaś i Erdödy pozostaliśmy jeszcze. Doktor bał się kryzysu i chciał wezwać sławnego Byula z Pesztu.

Tymczasem po zamku rozeszła się wieść, iż operacya się udała i nadszedł burgrabia, aby osobiście zasięgnąć wiadomości i usłyszeć nasze rozkazy.

Wtedy dopiero zdołałem zdać sobie sprawę z położenia rzeczy i zoryentować się w sytuacyi. Nie wiedziałem gdzie jestem, u kogo, jak również czy w tem obcem miejscu Keresza znajdzie przytułek i wygody. Ale pytanie, które miałem już na ustach nasunęło się i Erdödyemu.

— Drogi panie — rzekł w odpowiedzi na pełne troskliwości pytania burgrabiego — przedewszystkiem musimy wiedzieć, gdzie jesteśmy i komu się przez tę *fatalibus* awanturę uprzykrzamy.

Stary dworak odparł poważnie:

— U pani baronowej Irmy Seglavi Ciklö-Keszemark, w zamku Keszemark.

Rotmistrz lekko pobladł, a mnie ogarnęło nieokreślone jakieś uczucie, wywołane zapewne dziwnym zbiegiem okoliczności, które sprowadziły nas do złowrogiego zamku w kilka dni po poznaniu przezemnie niezwykłej baronowej i po usłyszeniu jej bardziej jeszcze niezwykłej historyi.

Zbliżyłem się do Erdödyego i szepnąłem:

— Co za dziwne zdarzenie....

Rotmistrz zmarszczył brwi i mruknął:

— Gdybym był przypuszczał....

— To cóż?

Wzruszył ramionami i mówił szeptem:

— Widzisz... ta dewiza...

— Oszalałeś?

— Bynajmniej, tylko ja tu jednego już, jak wiesz, straciłem przyjaciela, a przytem ta legenda, ten stan Arpada... Smutno mi jakoś.

— E, głupstwo!

— Zapewne — bąknął Erdödy. — Powinniśmy się cieszyć, że znaleźliśmy wypadkiem gościnę u wspólnej znajomej, a przytem krewnej Ghików. Najszczęśliwszy to na pozór zbieg okoliczności; mimo to przecież dziwnie jakoś mi smutno. Byłożby to tylko przywidzenie, czy też przeczucie?

Wyraz oblicza rotmistrza i jego słowa zastanowiły mnie i zapragnąłem zobaczyć oryginalny napis nad bramą zamku. Wybiegłem więc, by zaspokoić ciekawość.

Dreszcz wstrząsnął mną od stóp do głowy, gdy odczytałem wyryte istotnie na długiej tablicy marmurowej słowa:

„Kto tu wchodzi, nie wychodzi“.

A tak mnie to sprawdzenie rozstroiło, iż byłem niemal pewny, że Arpad niebawem wyzionie ducha.

X.

Arpad żył i przebył szczęśliwie przesilenie, którego się obawiali doktorzy. We mnie jednak tak utkwiło złe przeczucie, iż mimo to nie miałem żadnej nadziei, aby tego zamku dewiza nie sprawdziła się i na moim przyjacielu. I chociaż Erdödy wciąż mi tłómaczył iż nie mogła ona mieć żadnego związku z naszym chorym, doktor zaś nie przypuszczał nawet by stan Kereszy mógł się pogorszyć, mnie wciąż prześladowały myśli najsmutniejsze.

Mimo to przecież, zaraz w dniu pojedynku, wysłałem do księżniczki Ghika depeszę, donosząc iż jej narzeczony został lekko raniony. Od tego czasu byłem wciąż zarzucany telegraficznemi zapytaniami, na które najczęściej lakoniczne dawałem odpowiedzi.

Dopiero gdy doktor oznajmił, iż nie przypuszcza żadnej już komplikacyi, zatelegrafowałem do Maryi:

„Arpadowi znacznie lepiej. List wysyłam“.

I napisałem list, w którym oględnie wprawdzie, ale bądź co bądź, wyjawiłem całą prawdę, aby przygotować księżniczkę na długą z narzeczonym rozłąkę, oraz aby jej powiedzieć, że kilkotygodniowe nieopuszczanie przez Arpada łoża, powróci jej go zdrowym zupełnie.

Wobec też tego i ja z Erdödym musieliśmy obmyśleć plan działania. Urlop nasz się kończył a w zamku Keszemark byliśmy właściwie zbyteczni, bo wycieńczony Keresza nawet jeszcze do przytomności nie przychodził. Nie potrzebował więc naszego towarzystwa i wystarczyła mu zupełnie opieka doktora i gościnnej pani Irmy.

Postanowiliśmy opuścić Keszemark i powrócić do Pesztu, do służby, co też i doktor miał zamiar uczynić, uważając obecność swego miejscowego kolegi za zupełnie wystarczającą.

Zresztą Peszt nie był zbyt daleko. Na każde zawołanie Arpada mogliśmy się stawić w ciągu kilkunastu godzin, a i tak co pewien czas jeden z nas miał na przemian odwiedzać chorego.

Postanowiwszy to, uznaliśmy za stosowne tegoż samego dnia opuścić zamek pani Irmy.

Piękność tej kobiety zyskiwała jeszcze na tle poważnego i wspaniałego zamczyska. Jej uroda potrzebowała tej ciszy i powagi wiekowych murów, oraz tej melancholijnej poezyi, jaką zamczyskowi temu nadawała legenda.

Gościnność baronowej sprawiała, iż nie czuliśmy żadnego chłodu w tem gnieździe Keszemarków, głośnem tylu nieszczęściami i dramatami.

Komfort i zbytek otaczały Arpada, a kobieca troskliwość pani Irmy upewniała nas, że mu niczego nie zbraknie.

W zamku zresztą roiło się od różnego rodzaju domowników, krewnych i służby. Jakaś stara ciotka pani Irmy obiecywała czuwać nad snem Kereszy, a koniuszy, burgrabia i jakiś kuzyn zawieruchą życiową tu zagnany, stanowili idealne dla rekonwalescenta towarzystwo.

Zresztą wszystko składało się jaknajlepiej. Wszak Arpad był narzeczonym księżniczki, którą pani Irma, jak sama mówiła, kochała jak siostrę, księżnę Ghika zaś jak matkę, bo swoją, dzieckiem będąc, straciła.

— W nieszczęściu mieliśmy szczęście — powtarzał Erdödy. — Bo czyż nie jest to wypadek szczęśliwy z tak niebezpiecznie rannym i tak długo mającym się leczyć, trafić do tego wygodnego zamku, do pani Irmy, Ghików krewnej? On tu będzie jak u siebie.

Nie było więc żadnej racyi do dłuższego zaniedbywania obowiązków służby i przebywania w Keszemarku, w którym zresztą obecność chorego czyniła atmosferę ciężką i smutną.

Ponieważ pani Irma oznajmiła, że pragnie przed mym wyjazdem pomówić ze mną, udałem się więc do niej, mając zamiar przed wieczorem opuścić zamek, aby zdążyć na pospieszny pociąg, pędzący do Pesztu.

Piękna pani przyjęła mnie w swym buduarze — a raczej gabinecie — znajdującym się w jednej z baszt zamkowych, oświetlonym olbrzymiem oknem gotyckiem, a umeblowanym odpowiednio do stylu i charakteru budowli.

Na tem tle wyglądała czarująco.

(Ciąg dalszy nastąpi).

przed galonem nie jeden cham uchyli kapelusza. Będzie to całkiem stosowne, bo nauczycielowi ubliżają tylko te oznaki uszanowania, których wymaga władza wyższa. Już z „Krakowiaków i Górali" wiemy, jaka przestrzeń dzieli chłopa od organisty. Od stu lat postąpiliśmy ogromnie. Czy jednak ta prośba o mundur nie ma czasem głębszego, choć może nieuświadomionego znaczenia? Czy nie kryje się pod nią bezwiedna prośba o komendę?

* * *

W wędrówce po Lwowie współpracownik *Słowa polskiego* zaszedł na ulicę Batorego. Więc po krótkim wstępie tak pisze:

Przy tej ładnej, porządnej — przecież ją tak nazywamy — ulicy Batorego jest nr. 14. Z zewnątrz mur odrapany, posmarowany, koloru niezdecydowanego, brudny, jak chylące się w rynsztoki domeczki w ul. Lwiej pod Wysokim Zamkiem. W murze tkwią drżące za silnym wiatru powiewem, zbutwiałe ramy nie okien, ale okienek, w jakie musiał Lwów obfitować przed stu laty. W górze około trzeciego piętra gzems wisi, jak gdyby miał runąć za chwilę na dach przejeżdżającego wozu kolei elektrycznej. Mur cały zdaje się pękać i kruszyć za każdym razem, gdy na dole w szynku pijak w stół mocniej stuknie kuflem. Brama... A niechże też który z malarzy historycznych przyjdzie obejrzeć to zielone próchno, które nocą strzeże wejścia do tego domu, a posłuży mu ono za model do bramy z małej, zapadłej mieściny podolskiej przed setkami lat. Wejdźmy w tę norę ciemną, maleńką, która tu nazywa się sienią. To rzecz zajmująca przy ul. Batorego... Wszystko tam wygląda, jak gdyby od ćwierci wieku nikt tu nic nie mył i nie czyścił. Fetor zabójczy bucha ze skrzyni — tworzącej śmietnik, a zajmującej pół sieni, w której postawiono go na wprost bramy frontowej, żeby to, co wewnątrz gnije miesiącami, łatwiej mogło zatruwać powietrze na ulicy, którą zwykliśmy przechodzić, nie zatykając nosa. O trzy kroki od tej śmieciarki — chodnikiem codzień dwa razy przechodzą nasze dzieci do szkoły, co więcej — często wystają tu gromadką z powodu licznych w tem miejscu antykwarń. O pięć kroków od tej sieni strasznej jest sklep porządnego rzeźnika; o dziesięć kroków sympatyczna cukiernia. Kto potrafi wejść głębiej, zobaczy jeszcze osobliwsze podwórze, jeżeli można tak nazwać ponurę przestrzeń niewiększą od dużego pokoju, w której zdołano pomieścić istną ruinę ganków, podpartych czemś drewnianem, przez robactwo stoczonem dawno, co lada dzień runie, dalej zlew, przyprawiający patrzącego nań o mdłości, ustępy i tuż przy nich, omal nie w nich — mieszkanie stróża.

Mieszkanie... I my tyle mówimy o nieszczęściu nędzarzy, zmuszonych po jakichś norach wilgotnych składać za miastem swe członki chore na spoczynek, a nie wiemy, że tu, kędy codzień przechodzimy obojętnie, przy tej pierwszorzędnej ulicy Batorego — rodzinie stróża oddano na mieszkanie coś podobnego... Nieboszczyk Czaplicki w swych czarnych pamiętnikach ze zgrozą malował podziemia więzień w Kufsteinie: chyba tak musiały wyglądać owe tortury pod ziemią — jak tu, nie w piwnicy: to stróża mieszkanie, przy ustępie, w którym ruch nieustaje nigdy z powodu szynku, gnieżdżącego się na froncie tej rudery. Ten szynk — nawet i tej nazwy niegodna spelunka — przedstawia się zupełnie tak samo, jak wnętrze domu. O nr. 14 i to godzi się nadmienić, że należy do tych „kamienic" w centrum miasta, które, jak np. rudery u zbiegu placów Halickiego i Bernardyńskiego, są do dziś dnia jeszcze pod gontem!

Po przeczytaniu tego opisu, zdawało się nam, że coś podobnego we Lwowie, na ulicy Batorego, naprzeciw lśniąco białych, nowiuteńkich gmachów sądowych, wśród kamienic dobrze utrzymanych choć starszych, istnieć nie może, że więc autor pod pierwszem wrażeniem przekoloryzował. Ale gdzie tam! Poszliśmy na miejsce i wszystko sprawdzili. Przez bramę, a właściwie drzwi tak ciasne, jakich nie ma czasem nawet w pomieszkaniach, a drzwi to brudno szare z śladami farby zielonej gdzieniegdzie, z obłamaną do połowy listwą, wchodzimy do sieni niziutkiej. Na lewo w głębi w istocie paka na śmiecie. Wieko odkryte, fetor bucha, katar gotowy, a w gardle aż krztusi. Naturalnie dokoła tego śmietnika leży pełno śmiecia na podłodze. Podwórze zawalone rumowiskiem ze zburzonej przed paru tygodniami kuchni. Nikt go nie sprząta, bo zapewne nie ma w tak „porządnej" kamienicy narzędzi do tego; a lokatorowie obsypują to rumowisko wszelkiego rodzaju odpadkami, bo nieporządek w kamienicy jest tak okropny, że trochę mniej lub więcej brudu i niechlujstwa nic już znaczyć nie może. Około kraty kanałowej w ścieku to samo: pełno odpadków kuchennych. Przejść przez podwórko bez potknięcia się niepodobna. Kamienie, któremi podwórze wybrukowane, jakby były ze sobą w wojnie: jeden drugiemu — zdaje się — na łeb za chwilę wyskoczy, bo już dwa rogi podniósł do góry. Ściany wszędzie posmarowane robią wrażenie obrzydliwe; przyjemniejsze już są te liczne w nich miejsca, z których wyziera cegła, bo tynk dawno odpadł. O jednej rzeczy zapomniał jeszcze współpracownik *Słowa polskiego*. Oto gdy się ciekawy obserwator odważy stanąć na podwórzu i stamtąd patrzy na cały budynek, to mimo zabójczych wyziewów musi się roześmiać na widok rynien. Dwie rynny idące z dachu poza sztachety ganków, a dodajmy, że rdza je dawno przeżarła, — nagle przy ganku drugiego piętra kończą się strzępami, a dopiero dalszy ich ciąg zaczyna się u podłogi ganku pierwszego piętra. Musi to być dopiero bal podczas deszczu, gdy z rynien leje się na ganek!

Ale to wszystko pozostać musi długo, mianowicie, dopóki komisaryat magistratu, który jest sekwestratorem i administratorem, nie ściągnie 3000 zł. zalegającego dzisiaj podatku. Warto zapamiętać jak wygląda kamienica, którą administrują komisaryaty magistratu królewskiego stołecznego miasta Lwowa!

Warszawianka.

Pod powyższym tytułem zamieścił p. Wiktor Gomulicki w *Tygodniku illustrowanym* studyum porównawcze o kobietach. Wyjmujemy z niego następujący ustęp:

Co to jest Warszawianka? Odpowiedź na pytanie to nie jest trudna. Wskazuje ją sens gramatyczny samego wyrazu.

Warszawianka nie może być niczem innem, tylko: żeńską odmianą Warszawiaka. Dodajmy czemprędzej, że odmiana nijaka wyrazu tego nie istnieje. Nikt nigdy nie słyszał o „Warszawianiątku" lub „Warszawiażątku". Okoliczność to ważna. Ujawnia ona, że w Warszawie nie ma wcale dzieci we właściwem znaczeniu tego słowa. Są tylko: mali Warszawiacy i małe Warszawianki.

Z określenia „Warszawianka jest żeńską odmianą Warszawiaka", łatwo wyprowadzić dalsze wnioski. Gdyby naprzykład Warszawiak był orłem, Warszawianka byłaby orlicą; gdyby był gołębiem, byłaby gołąbką; gdyby był kogutem... Wiadomo jednak, że Warszawiak niczem z tego wszystkiego nie jest i być nie może! Warszawiak to — Warszawiak i dość.

Jako Warszawiak, bywa on: ruchliwy, dzielny, sprężysty, posuwisty i sympatyczny. Wnioskuj stąd prosty, że i Warszawianka bywa ruchliwa, dzielna, sprężysta, posuwista i sympatyczna. Nie wszystkie te przymioty jednoczą się w każdym Warszawiaku; nie wszystkich też szukajmy w każdej Warszawiance. Znaleźliśmy zatem najwydatniejsze znamię Warszawianki. Jest niem: żeńskość.

Rozumie się, że jak każda zasada, tak i ta posiada wyjątki. Nim je bliżej wskażę, zaznaczam tymczasem, że najmniej żeńskiemi z pomiędzy Warszawianek są: feministki (czy nie właściwiej nazwać je „maskulinistkami"?), oraz właścicielki nieruchomości, osobiście niemi zarządzające.

Pierwsze głosują niestylko za równouprawnieniem, ale także za równouprawnieniem i równouprawnieniem płci obojej; drugie posuwają zwykle sprężystość i akcyę czynną nierównie dalej, niżby to czynili ich bracia, ojcowie i mężowie.

Z pozoru, każda kobieta wydaje się istotą rodzaju żeńskiego; jestto wszakże tylko złudzenie... gramatyczne. Na czemże bowiem polega właściwa żeńskość kobiety?

Księga ksiąg, czyli źródło wszechwiedzy, albo wszechźródło wiedzy, to znaczy „Encyklopedya powszechna" S. Orgelbranda, twierdzi, że kobieta, aby miała prawo do tytułu nieodłącznego — być żeńską, powinna być „matką i zachowawczynią rodu ludzkiego, kapłanką domowego ogniska, strażniczką i opiekunką cnót rodzinnych".

Zgodnie z tym celem, taka normalna żeńska kobieta posiada „właściwą organizacyę fizyczną, która jej cięższych prac fizycznych podejmować nie pozwala, oraz odmienne usposobienie psychiczne, jak oto: większą czułość i wrażliwość, większą delikatność i bierność, a mniejsze (emancypantki raczą zwrócić uwagę, że to nie ja mówię, lecz Encyklopedya Orgelbranda) zdolności umysłowe".

A teraz zróbmy małą wycieczkę za granicę i zobaczmy o ile są żeńskiemi obywatelki innych stolic świata.

Wiedeńka przy pierwszem zaznajomieniu się z mężczyzną, zwykła zadawać mu dwa pytania: jaki jest jego ulubiony „kwiat"? i jaka jest jego ulubiona potrawa? Żeńskość tej istoty nie może być podawana w wątpliwość. Potwierdzeniem [illegible] wnie i [illegible] Wiedeńczy[illegible]rowego [illegible] ze się [illegible] mruży [illegible] kieł[illegible]y, jaki [illegible]ona.

...uciekłszy z Afrodyty łona
Drzemiąc, ssał rubinowe piersi winogrona.

Zgoła inną jest Berlinka. Stanowi ona odmianę Berlińczyka raczej nijaką, niż żeńską. On tłusty i okazały, ona chuda i niepokaźna; on zuchwały i zaczepny, ona pokorna i ustępująca; on brzuchaty i piersisty, ona — płaska wszędzie, jak emerytka-westalka.

Berlińczyk stroi się, muszcze, fryzuje, gors podwatowywa, w pasie ściska się gorsetem; Berlinka nosi zimą i latem trykotowe staniki, wełniane spódniczki, grube pończochy i pantofle, wyszywane krzyżową robotą; słowem, wysila się na to, aby być jak najbardziej ciężką, niekształtną, niemrawą...

Jestże to żeńskość? Tak — ale w tym tylko stopniu, w jakim ocet winny jest winem.

Posuwamy się nieco na zachód, nad Sekwanę i zdaje nam się odrazu, żeśmy u antypodów... Tam kobieta była istotą ostatecznie zwyciężoną, zawojowaną i nie marzącą nawet o wyzwoleniu; tu jest zbrojną i pełną animuszu szermierką, która walczy zażarcie, na chwilę się nie poddaje i tryumfy za tryumfami święci.

Paryżanki nie można nazwać Paryżaninem rodzaju żeńskiego. Ktoby określenie to chciał sprawdzać w praktyce, popełniałby nieustanne omyłki.

Żeńska połowa Berlina pracuje, męska bawi się i życia używa; w Paryżu dzieje się przeciwnie. O Paryżaninie powiedzieć można, że pracuje wyłącznie na Paryżankę i dla Paryżanki. Ta ostatnia, na kształt zwycięskiego despoty, rozpiera się leniwie na tronie i tylko od zawojowanego ludu haracz wybiera.

Jakże inaczej na bruku paryskim wygląda niemiecka historya Fausta i Małgosi! Akcya paryskiej Gretchen nie jest bierna, lecz czynna; ona to właściwie kusi, czaruje i do grzechu przywodzi Fausta. A gdy ten ostatni objawi chęć wycofania się — biada mu! zaraz występuje na scenę rewolwer lub kwas siarczany. W ostatnim zaś akcie nie widać wcale więzienia, kajdan i wyroku śmierci. „Przysięgli" uniewinniają Małgosię — rozbrojeni jej wdziękiem i młodością.

Paryżanin-rzemieślnik siedzi od rana do nocy przy warsztacie, zapracowany, zbiedzony, nie widzący przed sobą nic, prócz narzędzi pracy. Paryżanka, żona jego, strojna, świeża, wesoła, króluje w pięknym pokoju od ulicy. — Z operetkową piosenką na ustach wita ona „klientów", umawia się o robotę, odbiera pieniądze i całem zachowaniem się swojem mówi wyraźnie: L'état c'est moi, co znaczy po polsku: — Ja tu panią!

W dzień świąteczny nie trudno spotkać tęgą, zamaszystą Paryżankę, która ciągnie pod rękę niższego od siebie, chuderlawego Paryżanina. Jest to stadło małżeńskie: żona i mąż. Co czas jakiś, żona prowadzi męża do kawiarni, każe mu podawać „czegoś rozgrzewającego" (sama pije rzeczy chłodzące), płaci za siebie i za towarzysza (pieniędzmi tego ostatniego) i wychodząc, mówi dobrotliwie:

— Teraz idź, stary, do domu; pobaw Lolusia i Bebetkę. Ja wstąpię do znajomych...

Jak widzimy, stosunek jest tu całkowicie odwrócony; nie popełnilibyśmy też podobno wielkiej przesady, nazywając Paryżankę: męską odmianą Paryżanina.

Z kolei kierujemy wzrok na drugą stronę kanału.

W Londynie uderzają nas przedewszystkiem dwie rzeczy: organizacya fizyczna wcale od męskiej nie słabsza i zdolności umysłowe bynajmniej od męskich nie mniejsze.

Marzona gdzie indziej równość płci jest tu już rzeczywistością. Nie uznało jej jeszcze całkowicie prawo, ale i to prędzej lub później nastąpi.

Londynka uzupełnia Londyńczyka, jak tony wiolinowe uzupełniają klucz basowy. Równie jak on, silna i w sportach wszelkich wyrobiona, posiada nadto przymioty, na których jemu zbywa. Jest zgrabna, wytworna, słodka, marzycielska i poetyczna. Gdyby nie ona, Byron i Shelley nigdyby nie byli uznani w ojczyźnie swej za geniuszów. Nigdyby też epokowe dzieło „O poddaństwie" kobiet nie ujrzało światła dziennego, gdyby żona Milla była nieangielskiej narodowości.

Żeńskość Londynki jest niezaprzeczona; dąży ona wszakże wyraźnie do wzięcia przewagi nad męskością Londyńczyka, a to lada dzień pozbawić ją może charakteru właściwego.

Cóż powiem o obywatelkach stolic południowych: Rzymu, Madrytu i Stambułu?...

Ściśle rzecz biorąc, Rzymianki i Madrytcianki są istotami rodzaju żeńskiego tylko do lat trzydziestu. Zaledwie doszły do fatalnej (o! stokroć fatalniejszej dla nich, niż dla Warszawianek!) trzydziestki, górna ich warga pokrywa się czarnym, zagadkowym meszkiem, który zaciemnia nieraz i krągłą bródkę. Niebawem meszek ten traci swą zagadkowość: wyłaniają się z niego niewątpliwie wąsy, oraz trudna do zaprzeczenia broda. Z dodatkami zaś tymi czyż można być Julią nawet dla Romea?

Dużo pisano o płomienistości mieszkanek Południa. Istnieje ona rzeczywiście, ale posiada temperaturę o wiele niższą od opisywanej. Może za czasów Bokacyusza i Cervantesa po ulicach Rzymu i Madrytu chadzały wulkany; dziś, znaczna część tamtych niewiast studyuje nauki przyrodnicze, matematykę, socyologię, przyczem włosy krótko strzyże i nosi okulary. To ochładza.

Cóż można rzec o tem wielkiem (raczej niewielkiem, ale pulchnem) x, które się nazywa obywatelką Stambułu? („Stambułką" nazwać jej nie mogę, gdyż już to miano przywłaszczyła sobie — fajka).

Mimo wielkiej różnicy położenia geograficznego, kultury, klimatu, zwyczajów i obyczajów, to x, ponętne, bo tajemnicze, wydaje się przyrodnią siostrą — Berlinki. Upodobnia je do siebie wydatne znamię społecznej, rodzinnej i towarzyskiej nijakości.

Zebrawszy te wszystkie spostrzeżenia w jedno, cóż widzimy?

Widzimy, że Warszawianka — z małymi wyjątkami — jest istotą najbardziej ze wszystkich żeńską, że jest kobietą, w najpełniejszem tego słowa znaczeniu. Nie zawsze ona bywa, bo nie zawsze bywać może „matką i zachowawczynią rodu ludzkiego"; ofiary kapłańskiej przy „domowem ognisku" nie spełnia tak często, jakby pragnęła, z przyczyny, że nieraz i ogniska nie ma komu rozpalić; od „straży przy cnotach rodzinnych" odsuwa ją częstokroć prąd czasu, unoszący kobietę daleko od domowych progów — do tych wszystkich jednak ról jest doskonale uzdolniona i przy odpowiednich warunkach mistrzowsko spełniać je umie.

Feministki, oraz właścicielki nieruchomości (osobiście majątkiem swym zarządzające) biorę za nawias — nie uważając ich zresztą za pozycyę bezwarunkowo dla społeczeństwa straconą.

Nieraz jeden walc na balu publicznym przetańczony, jedna półgłośna rozmowa, przeprowadzona na raucie, pod zasłoną wachlarzowatych liści palmy, stają się iskrą, rozniecającą płomień w martwem dotychczas łonie.

Nawet feministka może uledz mężczyźnie, nawet właścicielka nieruchomości (samodzielna) może roztkliwić się amoroso — gdy są Warszawiankami.

Okrucieństwo sportowe.

Z Paryża piszą: Mieliśmy tu monstrualny wyścig na bicyklach, który trwał trzy doby! Trzy doby! Łatwo to wymówić, ale pomyślcie sobie że to 72 godzin z rzędu, bez przerwy, ci ludzie krążyli naokoło areny cyrkowej na bicyklach.

Takie widowisko mieli sportsmeni i amatorowie, pozostający w Paryżu podczas obecnej strasznej kanikuły wakacyjnej i zeszli się na nie licznie, zapełniając swojemi frankami kieszeń przedsiębiorcy. Ścigających się cyklistów z zawodu też nie brakło. Wyścig wygrał Miller, który dostał 2500 franków; następni: Frédérick, Joyeux, Faure, Bertin, Chevalier, dostali nagrody od 1700 w dół aż do 300 fr. Inni — nagrody pocieszenia po 25 fr.; średnia nagroda wynosiła około 35 fr. za dzień tej męki. Bo była to męka prawdziwa, nieludzka, o której świadczą fakty następujące:

Już po 14-ej godzinie wyścigu jeden z rywali dostał strasznego podniecenia nerwowego, pochwycił parasol jednego z widzów, otworzył go, zaczął jeździć z nim po całym torze, wyśpiewując i wygwizdując niestworzone rzeczy. Przed końcem pierwszej doby kilku powpadało z bicyklów i odniosło poważne rany. Jednego z nich, Amerykanina Alberta Francka, odniesiono bez przytomności do szpitala; przy rozbieraniu nie znaleziono przy nim ani grosza. Widocznie liczył na zarobek z wyścigu, biedaczysko!

Stan Bertina tak opisuje reporter dziennika sportowego *Vélo*: „Leży on za zasłoną zupełnie nagi, bez tchu, bez znaku życia. Ma oczy szeroko otwarte, zdaje się jednak spać. Od czasu do czasu dreszcz konwulsyjny wstrząsa całem ciałem nieszczęśliwego; nie poruszając prawie wcale wargami, szepce on: „Gorąco mi.." W godzinie 41-ej Toureau wyobrażał sobie, że ktoś podkłada mu rakiety pod koła i że na każdym zawrocie czyha na niego wóz, o który się wywróci.

Gdy wystrzał pistoletowy oznajmił koniec 48-ej godziny, Fischer podbiegł do drzewa, stojącego na arenie, wlazł na gałąź i zaczął wydawać jakieś zwierzęce głosy...

Przedsiębiorca, ku lepszej zabawie publiczności, urządził fajerwerk, który wywarł nadzwyczajne wrażenie na osłabionych nerwowo wyścigowcach. Otwierali oni ręce, aby chwytać spadające iskry, mniemając, że to złoto; jeden z nich wydał donośnym głosem dziwny okrzyk: Otośmy w raju!

Wreszcie, w przedostatniej godzinie, Frédérick, który nadludzkim wysiłkiem woli przez 27 godzin z rzędu nie zsiadał z bicykla, spadł z niego bez przytomności na asfalt. Niema ani jednego ze współubiegających się, któryby nie potrzebował się leczyć...

Czyż to nie prawdziwa, okrutna tortura sportowa bez żadnego celu i pożytku?

List do Redakcyi.

(*W sprawie will p. Franza.*)

Szanowna Redakcyo!

Odpowiedź p. Jaksy Bogdańca przeczytałem sumiennie i przyznaję otwarcie, że mnie nie przekonała wcale. Przedewszystkiem absolutnie nie wierzę w możliwość wystawienia przyzwoitego domu parterowego o 9 pokojach, kilku kuchniach, przedpokojach, schowkach i innych ubikacyach, potrzebnych w domu, za 6 000 złr. Dom taki musiałby mieć co najmniej 250 metr. kwadr. zabudowanej przestrzeni; przy takim rozmiarze miałby pokoje mniej więcej po 16—20 m. kw. powierzchni, to znaczy się, pokoiki niewielkie. Licząc metr zabudowanej przestrzeni parterowego domu na piwnicach po 45 złr., bez piwnic po 40 złr., otrzymujemy w pierwszym wypadku (250×45) 11.250 złr. a w drugim 10.000 złr., więc nawet bez piwnic maleńki domek kosztowałby 10 tysięcy złr., a szan. p. Jaksa Bogdaniec powiada, że będzie kosztował 6.000 złr. Jakimże sposobem? Niech p. Franz, jeżeli rzeczywiście ma taki zamiar, ogłosi, a w takim razie wszyscy się rzucimy do kupowania tych domków jego, bo sprzedawane po 6.000 złr., jeżeli nota bene będą przyzwoite, z przyzwoitych materyałów i uczciwie budowane, będą prawdziwem dobrodziejstwem dla ludzi. Że jednak to jest niemożliwe, bo p. Franz nie może prezentów robić, ani żadnej tajemnicy budowania nie wykrył, któraby mu umożliwiała o połowę taniej produkować, przeto przypuszczam, iż p. Jaksa Bogdaniec w obliczeniu swem coś ominął, czegoś nie porachował, lub coś przeoczył.

Z izby sądowej.

Jasło, 26 sierpnia.

(*Rozruchy antysemickie*).

Wczoraj odbyła się rozprawa przeciw 15 włościanom za udział w rozruchach w Łazach Dębowickich dnia 14 czerwca b. r. Tylko dwaj, Kapanowski i Kwilosz oskarżeni są o gwałt publiczny, reszta odpowiada jedynie za kradzież. Kapanowski w dniu owym z taką dziką zawziętością srożył się w mieszkaniach żydowskich, że to nawet w owych dniach, w których zaburzenia były na porządku dziennym, było bezprzykładne. Jadąc z Kwiloszem przez Dębowiec, wołał Kapanowski głośno z gościńca, że wiezie z Jasła pozwolenie na bicie żydów; stanąwszy przed jakimś domem żydowskim, z kołem w ręku wpadł przez okno do mieszkania, za nim Kwilosz i obaj połamali i zniszczyli wszystkie sprzęty. Następnie nawiedzili drugie i trzecie mieszkanie żydowskie. Tutaj przybył wójt z podwójcim i policyantem gminnym i usiłował Kapanowskiego uspokoić. Kapanowski zagroził mu przebiciem, wójt na to kazał go związać, ale nikt nie chciał tego rozkazu wykonać, Kapanowski zaś, słysząc to, rzucił się na wójta i chwycił go za gardło, wskutek czego wójt z obawy gorszych następstw, ustąpił. Teraz Kapanowski począł formalnie szaleć, tłukł, niszczył i wyrzucał rzeczy przez okno, rozdawał ludziom zgromadzonym przed domem rozmaite przedmioty i bił tego, kto ich brać nie chciał. Następnie tłum wtargnął także do wnętrza domu i pokradł resztę rzeczy, jakie tam jeszcze były.

Skazani zostali: Kapanowski na 8-miesięczne ciężkie więzienie, jedenastu oskarżonych na ciężkie więzienie od 4 tygodni do 4 miesięcy, a trzech uwolniono.

Po skończeniu tej rozprawy stanęli przed sądem 3 włościanie oskarżeni o kradzieże w czasie rozruchów w Nawsiu Kołaczyckiem i zostali zasądzeni na 4 do 6 tygodni ciężkiego więzienia. Odsiadywanie tych kar odroczono wskutek prośby podsądnych na 6 tygodni.

Kronika.

Lwów 29 sierpnia.

Wiadomości urzędowe. Minister sprawiedliwości zamianował adjunktami sądowymi następujących auskultantów: Aleksandra Gryglewskiego dla Winnik, Apollona Patrasza dla Seletina, Mieczysława Szefera dla Drohobycza, Józefa Samuelowicza dla Buczacza, Jana Sosenko dla Czortkowa, Feliksa Słotwińskiego dla Radymna, Mieczysława Jamrozika dla Sokala, Józefa Gailhofera dla Medenic, Erazma Semkowicza dla Mielnicy, Tomisława Jędrzejowicza dla Jarosławia, Antoniego Zachara dla Sadagóry, Temistoklesa Bocancea dla Wyżnicy i dra Kazimierza Moszyńskiego dla obwodu wyższego sądu krajowego we Lwowie bez oznaczonego miejsca pobytu. — Minister rolnictwa zamianował oficyała kancelaryjnego Edwarda Witoszyńskiego adjunktem kancelaryjnym w dyrekcyi lasów i domen we Lwowie.

Nowa dyrekcya kolei. Z Nowym Rokiem utworzoną zostanie dyrekcya ruchu kolei państwowych w Czerniowcach. Kierownikiem jej tymczasowym ma zostać dr. Seinfeld, wicedyrektor kolei stanisławowskiej.

Bolesny wypadek dotknął sekretarza lwowskiego magistratu, p. Leona Dziubińskiego. W nocy na niedzielę powracała koleją żona jego z ośmioletnim synkiem Adasiem ze Szczawnicy do Lwowa. W drodze między Sączem i Kamionką chłopak wsparł się o drzwi wagonu; drzwi się otworzyły a Adaś wypadł. Na krzyk matki poczęto targać za linewkę bezpieczeństwa i dopiero po kilku minutach pociąg stanął. Udano się w poszukiwanie chłopaka. Znaleziono go leżącego bezprzytomnym na nasypie kolejowym. Pociąg ruszył więc następnie do Kamionki, gdzie chorego opatrzył prof. dr. Korczyński i skonstatowawszy wstrząśnienie mózgu, polecił odwieść do szpitala w Sączu. Stroskana matka polecenie to wypełniła. W szpitalu nowosądeckim dostał się chłopak w troskliwą opiekę dr. Zielińskiego. Stan jego zdrowia jest bardzo groźny; prawdopodobnie wskutek wypadnięcia mały Adaś złamał sobie kość u podstawy czaszki. Zawiadomiony o tym smutnym wypadku ojciec, p. Leon Dziubiński, wczoraj wyjechał do Nowego Sącza. Dyrekcya kolejowa wdrożyła śledztwo.

Dziką zbrodnię popełnili żołnierze załogi lwowskiej przed tygodniem za rogatką żółkiewską. W tak zwanym „ogrodzie zdrowia" należącym do Jakóba Kiżyka, ubiegłej niedzieli zabawiało się liczne towarzystwo złożone z żołnierzy, wyrobników i dziewcząt służebnych. W tem z niewiadomych powodów, a jak opowiada rodzina Kiżyka z namowy jednego z sąsiednich restauratorów, który jakoby miał dać kilku żołnierzom po guldenie i kuflu piwa, ażeby narobili w ogrodzie sąsiada „breweryi" i w ten sposób zakład jego skompromitowali, rozpoczęła się awantura. Pięciu żołnierzy strzelców i z branży piekarskiej, a nadto jeden dragon i jeden artylerzysta dobyli ni z tego ni z owego broni i poczęli wypędzać z ogrodu cywilnych, żądnych zabawy. Przybiegł na to najstarszy kelner i począł perswazyą nakłaniać rozjuszonych do rozejścia się. Nie pomogło. Artylerzysta dobył swego miecza i ciął nim nieszczęśliwego tak silnie w głowę, że przeciął mu dość grubą czapkę i zadał mu straszną ranę. Tylko grubości daszka, który wstrzymał zamach, kelner zawdzięcza swe życie. Krwią zlany i nieprzytomny padł nieszczęśliwy na ziemię, a żołdacy rozbestwieni, znęcali się nad nim dalej.

Tymczasem drugi kelner pobiegł do gospodarza Kiżyka z uwiadomieniem, że żołnierze biją, rozbijają wszystko, zabierają pieniądze ze szuflady. Kiżyk pobiegł na miejsce i zaczął perswazyą nakłaniać do rozejścia się. W tem jeden zawołał: „A ty co za jeden! hura chłopcy na niego." Rzucili się wszyscy na niego i zaczęli szablami i bagnetami rąbać po głowie. Nieszczęśliwego, który krwią zlany, upadł twarzą do ziemi, bili dalej rozjuszeni żołnierze. Kilka ciężkich ran w głowie, całe plecy i grzbiet zbity, liczne i ciężkie rany na nogach i rękach, oto stan nieszczęśliwego. Dopiero na widok patroli policyjnej i patroli huzarów niegodziwcy ci pouciekali; dwóch tylko żołnierzy aresztowano i sprowadzono na odwach.

Tymczasem Kiżyka przeniesiono do izby, wezwano dwóch lekarzy, dra Gostyńskiego i Jaszczurowskiego, którzy mieli wiele trudu, zanim rannego przyprowadzili do przytomności i zatamowali upływ krwi. W ciągu tygodnia przybyła komisya sądowa, która po spisaniu protokołu oddała sprawę prawdopodobnie sądom wojskowym. Kiżyk leży ciężko chory i pomimo, że tydzień minął od zbrodni, stan jego nie polepszył się wcale. Przytomności zupełnie nie odzyskał, majaczy chwilami, a otoczenie sądzi, że niebawem umrze, albo w najlepszym razie kilka miesięcy chorować będzie.

Zauważyć musimy, że podobne awantury, naturalnie na mniejszą skalę, zachodzą w każdą niedzielę i święto, zimą i latem, za rogatką żółkiewską. Ludność tameczna formalnie boi się każdego świątecznego dnia, bo gdy żołnierze podchmieleni poczynają na swój sposób „żartować", najspokojniejszy przechodzień musi się co żywo ukryć, jeśli chce unieść całe kości. Zanosimy tedy do komendy lwowskiego garnizonu prośbę, by poleciła pouczyć żołnierzy, iż bez tak zwanego „Urlaubscheinu" nie wolno im się wydalać poza rogatki Lwowa, gdyż inaczej popełniają dezercyę, a także i w tym kierunku pożądaną byłaby instrukcya, że ludzie cywilni nie są gorsi od wojskowych, że zatem należy ich traktować po ludzku, a nie z taką bezprzykładną dzikością, jak to robi od jakiegoś czasu lwowskie wojsko.

P. Roman Żelazowski opuszcza stanowisko reżysera w teatrze lwowskim i w rozpoczynającym się właśnie nowym roku teatralnym ofiaruje lwowskiej publiczności tylko pięć miesięcy, w Krakowie zamierza występować przez trzy miesiące, a cztery miesiące pozostawia sobie na gościnne występy na innych polskich i słowiańskich scenach.

Honorowe obywatelstwo miasta Sieniawy otrzymał Jerzy ks. Czartoryski.

Owacya dyrektorowi teatru. W *Kuryerze warszawskim* czytamy: Wczoraj w południe w czasie próby trupa lwowska urządziła owacyę swojemu dyrektorowi, p. Ludwikowi Hellerowi, z okazyi jego imienin. Orkiestra zagrała fanfarę, chór zaśpiewał utwór okolicznościowy, poczem reżyser p. Myszkowski wręczył solenizantowi cenny upominek składkowy. P. Heller, dziękując za życzenia z jednej a za szczerą pracę wszystkich członków trupy z drugiej strony, oświadczył, że skreśla z rachunku wszelkie zaliczenia, pobrane z kasy teatru przez członków orkiestry, chóru i maszynistów. Zaliczenia te wynoszą przeszło 1500 rubli. Niezależnie od gratyfikacyi wczorajszej, w środę odbędzie się przedstawienie na dochód wybornych chórów lwowskich.

Kobiety w służbie pocztowej i telegraficznej: W połowie bieżącego miesiąca wydał minister handlu rozporządzenie, regulujące stosunek służbowy kobiet, pracujących w urzędach pocztowych i telegraficznych. Na mocy tego rozporządzenia, które wchodzi w życie już od 1 września, zatrudnianie kobiet przy eraryalnych urzędach pocztowych i telegraficznych, zaprowadzone w latach 1871 — 1874 na próbę, otrzymuje obecnie charakter stały, a fankcyonaryuszki poczt i telegrafów eraryalnych będą odtąd mogły uzyskać stabilizacyę. Wskutek tego więcej niż trzy piąte części ogółu zajętych przy pocztach i telegrafach kobiet będą miały odtąd stałe posady z prawem do pobierania pensyi w razie słabości lub urlopu przez cały rok, a nie jak było dotychczas, tylko przez miesiąc. Urzędniczki pocztowe podlegać będą teraz tym samym przepisom dyscyplinarnym, co ich męscy koledzy.

O morderstwo w Dydni, spełnione w niedzielę Wielkanocną b. r. przez Konstantego Winiarskiego na księdzu Feliksie Biesiadzkim i na własnej żonie Stanisławie z Rucińskich Winiarskiej, odbędzie się w Sanoku rozprawa sądowa dnia 31 bm. Oskarżonego Winiarskiego bronić będzie adw. dr. Nebenzahl. Wezwano 27 świadków, dwóch psychiatrów ze Lwowa i dwóch lekarzy sądowych z Sanoka.

Konkursa rozpisują: Urząd metrykalny izraelicki w Brodach na posady zastępców prowadzącego metryki izraelickie w Stanisławczyku, w Leszniowie, w Łopatynie i Szczurowicach. Termin do 25 września. — Namiestnictwo lwowskie na kilka stypendyów z fundacyi im. Wincentego Siemińskiego po 100 zł. dla kandydatów na nauczycieli szkół ludowych narodowości polskiej; termin do 15go listopada.

Dyrekcya poczt i telegrafów we Lwowie donosi, że konsorcyum żydów galicyjskich wniosło ofertę nie o dostawę zaprzęgów dla wszystkich urzędów pocztowych nieeraryalnych, lecz tylko w paru specyalnych wypadkach.

Uroczyste poświęcenie gmachu „Sokoła" połączone z wielkim festynem ludowym, odbędzie się w Żółkwi d. 18 września br.

Tramwaj pneumatyczny. Pewna firma amerykańska zrobiła ofertę magistratowi m. Warszawy urządzenia w Warszawie tramwaju pneumatycznego, wedle zapewnień tej firmy, lepszego od parowych i elektrycznych. Mianowicie zabezpieczenie od wybuchu jest większe, brak szumu, dymu, iskier, szybkość zaś wynosi do 30 km. na godzinę. Możeby nasz magistrat skomunikował się z warszawskim w tej sprawie.

Nafta. W pobliżu Sękowej w pow. gorlickim na terytoryum należącem do preszburskiej rafineryi nafty „Apollo", odkryto tymi dniami obfite źródło nafty. Pierwszy wybuch dał około 1000 centnarów metrycznych ropy.

Niezwykła uroczystość wyznaniowa. W katedrze na Wawelu odbyła się w sobotę niezwykła uroczystość religijna. Izraelita p. Korngold wraz z żoną i dwoma synami przeszedł na łono Kościoła katolickiego. Aktu uroczystego chrztu dopełnił ks. S. Skoczyński, wikaryusz katedralny, w asystencyi ks. T. Bukowskiego, podkustoszego katedralnego. Neofici przyjęli imiona: p. Korngold Kazimierza, żona Jadwigi, synowie Józef i Tadeusz. Po chrzcie św. odbył się ślub państwa Korngoldów. Sakramentu małżeństwa udzielił im także ks. Skoczyński, kolega gimnazyalny p. Korngolda.

Z zakładów kąpielowych. Od 15 maja do 15 b. m. przybyło do Krynicy osób 4341, do Szczawnicy przybyło do 19 sierpnia osób 2291.

Kongres syonistów, który się dopiero co odbył w Bazylei, debatował głównie nad sprawą wyjednania tego, by Turcya i inne mocarstwa zezwoliły na założenie w Palestynie osady dla żydów z rękojmią prawną.

Pożar w Wenecyi. Przez trzy dni paliły się w Wenecyi rezerwoary naftowe włosko-amerykańskiego Towarzystwa naftowego. Spaliło się przeszło milion litrów nafty. Pożar przygasa, lecz jeszcze nie ustał zupełnie.

Z dyrekcyi teatru otrzymujemy następujący komunikat: Personal teatru lwowskiego bawiący dotąd w Krynicy zjeżdża do Lwowa w poniedziałek 29 bm. i rozpocznie we środę, 31-go, przedstawienia codzienne na razie w teatrze letnim, poczem około 10-go września przeniesie się do gmachu Skarbkowskiego.

Na repertuar przyszłego sezonu pozyskała Dyrekcya teatru cały szereg nowości z zakresu literatury dramatycznej rodzimej i obcej. Z dzieł rodzimych wymienić należy takie jak: „H K T“ Anonima, „Napierski“ Jana Kasprowicza, „Dwór Jana III-go“ Z. Sarneckiego, „Taboryci“ Kozłowskiego, „Ogniwa“ Lubowskiego, „Państwo młodzi“ Z. Przybylskiego, „Szaławiła“ Glińskiego, „Quo vadis“ podług H. Sienkiewicza w opracowaniu scenicznem Walewskiego i wiele innych, które wyjdą z czterech prawie równoczesnych konkursów dramatycznych a to: *Kuryera warszawskiego*, Paderewskiego, Dyrekcyi teatru lwowskiego i Wydziału krajowego. Z literatury obcej wejdą na repertuar dzieła tej miary jak: „Agnieszka Jordan“ Hirszfelda, „Ghismonda“ Sardou, „Królewna z za morza“ E. Rostanda, „Lygia“ Bavveta, „Johannes“ Sudermana, „Budowniczy Solnes“ Ibsena, „Światło morza“ Ganghofera, „Burza“ Jacobsena w przekładzie J. Kasprowicza, „Cyrano de Bergerac“ E. Rostanda w przekładzie Konopnickiej, „Wnętrze domu“ Metterlinka, „Młodość“ Halbego, „Pamela“ Sardou, „Johanna“ Björnstierne Björnsona, „Wyrawa“ Szuberta i nigdy dotąd na żadnej scenie polskiej nie wystawiony: „Król Edyp“ Sofoklesa z muzyką Mendelsohna. Z zakresu wesołych komedyi wymienić należy: „Przyjaciele młodości“ Fuldy, „Zgrzebna koszula“ Carlweissa, „Pod białym koniem“ Szöntana i Kadelburga, „Zazdrość“ Bissona i Leclera, „Idealna żona“ M. Pragi, „Teściowie“ Gabany'ego, „Pan Profesor“ Blumentala, „Mały Lord“ Lemaera i wiele innych. W zakres wznowień z repertuaru klasycznego wejdą między innemi następujące dzieła: „Balladyna“, „Król Lear“, „Intryga i miłość“, „Szklanka wody“, „Skąpiec“ (Molier), „Marya Stuart“ (Słowacki), „Wesele Figara“, „Ryszard II-gi“, „Juliusz Cezar“ (Szekspira), i „Ostrożnie z ogniem“ (Musseta).

Personal teatru wraca do Lwowa w niezmienionym swym składzie a wszelkie pogłoski o ubytkach jako mijające się z prawdą odnieść należy chyba do układów, które dyrekcya prowadzi z kilkoma wybitniejszemi siłami celem pozyskania ich dla dramatu i komedyi.

Uroczystości kościelne. W dniach 20 i 21 bm. odbyły się w Nawojowej (w pow. sądeckim) dwie rzadkie uroczystości kościelne, a mianowicie: wizytacya kanoniczna JE. ks. biskupa Łobosa i konsekracya nowego kościoła. W uroczystości tej oprócz duchowieństwa wzięło udział liczne obywatelstwo z okolicy z kolatorem hr. Edwardem Stadnickim na czele i tłumy pobożnych włościan i mieszczan z sąsiednich wsi i miasteczek. Poświęcenia kościoła dokonał ks. biskup w dniu 20 bm., a nazajutrz udzielił sakramentu bierzmowania około 600 osobom. Mowy, jakie z okazyi obydwu tych aktów wygłosił ks. Łobos, sprawiły wielkie wrażenie na zgromadzonych, którzy ze łzami w oczach wracali do domu. JE. ks. biskupa podejmowali nader gościnnie kolatorowie: hr. Edwardowie Stadniccy i miejscowy proboszcz ks. Żobecki. Nadmienić tu należy, że piękny, w stylu gotyckim zbudowany nowy kościół w Nawojowej, kosztował 54 tysiące, a stanął dzięki ofiarności parafian i kolatorów, tudzież dzięki staraniom i wytrwałości ks. Żobeckiego.

Zmienne koleje losu. Krynicki korespondent *Głosu Narodu* pisze: Przez kilka tygodni odbywał tutaj kuracyę pan Józef Skupiewski, szef sekcyi w rumuńskiem ministeryum zagranicznem i zarazem dyrektor rządowego biura korespondencyjnego w Bukareszcie. Pobiera on 75.000 franków pensyi rocznej i cieszy się przytem poważaniem na dworze królewskim. Dziwne koleje przechodził ten człowiek. Po skończeniu uniwersytetu warszawskiego, rozpoczął w grodzie syrenim praktykę adwokacką. Następnie w roku 1883 przeniósł się do Krakowa i wszedł do redakcyi *Gazety krakowskiej*. Nie widząc dla siebie pola, wyjechał do Paryża. Tam jako Polakowi, było trudno wyrobić sobie stanowisko. Aby nie umrzeć z głodu, pracował w hali targowej i zarabiał 1½ franka dziennie. Po roku zrobiwszy kilka znajomości z dziennikarzami, wszedł do redakcyi *La Liberté*. Nędznie płatny, pisywał znakomite artykuły, ale zazdrośni Francuzi nie dopuścili go do wyższego stanowiska. Opuścił Paryż i przeniósł się do Brukseli. Tam zaczęło mu się lepiej powodzić i zwrócił na siebie uwagę. Pojechał i zrobił karyerę. Protegujе Polaków i dzięki jemu niejeden z naszych rodaków posiada dziś w Rumunii dobry kawałek chleba.

Samobójstwo. Wczoraj zastrzelił się w swem pomieszkaniu pod l. 3 ul. Czackiego były dyurnista Dyrekcyi skarbu, Michał Kozioł. Wymierzył w serce i natychmiast żyć przestał. Mieszkał w suterynach, kątem, pospołu z matką i jakąś zarobnicą. Do samobójstwa popchnęła go nędza, gdyż nie mając zajęcia nie miał z czego żyć. Pozostawił dwa listy, pisane z ogromną starannością. W jednym z nich podaje, że już dawniej chciał swe życie ukrócić, ale wówczas jakaś litościwa ręka pospieszyła mu z pomocą materyalną; teraz jednak przyszedł nań znów tak wielki niedostatek, że mu dalej istnieć trudno. W drugim liście prosi jednego ze swych kolegów, by sprzedał rewolwer, a kaucyę 3 zł., zastawioną za rewolwer, użył na koszta pogrzebu.

Czarne róże. Jak donoszą dzienniki petersburskie, jednemu ogrodnikowi w Petersburgu, po 18 letnich usiłowaniach udało się wyhodować różę zupełnie czarną. Rzadkie okazy te wysłane być mają do Londynu, gdzie będą wystawione na widok publiczny.

Spadek 36 milionowy. Syn Edwarda Gregra, adwokat mieszkający w Nowym Jorku, prowadzi obecnie wielki proces w interesie spadkobierców zmarłego w Indyach Słowaka Hoffmanna, który pozostawił majątek 36 milionów zł., złożony w bankach londyńskich. Jedną ze spadkobierczyń jest siostra Hoffmana, stara ślepa kobieta, mieszkająca w Słowacyi, nazwiskiem Janauszek.

Wycieczka do Danii. Pewna grupa cyklistów warszawskich udała się do Danii na bicyklach. Objechawszy ją całą, wróciła teraz z powrotem do Warszawy. Turyści ci opowiadają, że przyjmowano ich wszędzie bardzo serdecznie, że ułatwiano im wszędzie możność podróży i w rozmowie [illegible] Polacy tak [illegible] Niemiec i [illegible] nie od- [illegible] na sym- [illegible] równie jak [illegible] Wszak przysłowie powiada: *Les ennemis de nos ennemis sont nos amis*. (Wrogowie naszych wrogów są naszymi przyjaciółmi).

Lasy palą się w południowej Francyi. Telegram z Bordeaux donosi, że szpilkowy las pod Bergantonem objął pożar na przestrzeni 20 hektarów. Jeszcze gwałtowniejszy pożar wybuchł w departamencie Landes koło Lacanau, Labouheyre i Ichoux. Ogień z drzew przeszedł na szyny telegraficzne nad torem kolejowym i na progi torowe, gdy nadjechał pociąg z Bajonny zdążający do San-Sebastianu. Maszynista nie tracąc przytomności umysłu, puścił całą siłę pary do tłoków i przeprowadził pociąg z szybkością strzały poprzez morze płomieni. Mógł się razem z palaczem żywcem upiec. Na szczęście nic im się nie stało, kilku tylko pasażerów zachorowało od strasznego gorąca i dymu. Pożary powstały — jak się zdaje — wskutek niesłychanych upałów, jakie panowały we Francyi.

Poczwórne morderstwo. W Jamnej koło Jaremcza w nocy na niedzielę 30-letni parobek Kapitanczuk wpadł do miejscowej karczmy Spiegla i śmiertelnie pokaleczył karczmarza, jego żonę i dwóch podróżnych. Spieglowa umarła, inni są ciężko ranni. Zbrodniarza aresztowano.

W sprawie tej piszą nam z Jaremcza pod datą dnia 29 b. m.: W sąsiedniej wsi Jamnie popełniono dzisiejszej nocy straszne morderstwo na trzech żydach i jednej żydówce. Żydówka umarła już dziś rano o godzinie 8 wskutek ran, otrzymanych z rąk mordercy, mąż jej, szynkarz, ciężko poraniony, jest jednak nadzieja utrzymania go przy życiu, drugi żyd, w młodszym wieku, niby pasterz bydła, niby nauczyciel dzieci i trzeci, jakiś podróżny, który idąc pieszo w piątek zapóźnił się i z powodu zachodzącego szabasu został w karczmie na nocleg, walczą między życiem a śmiercią i najprawdopodobniej ulegną zadanym przez mordercę ranom.

Morderca, hucuł, nazywa się Stefan Kapitanczuk, jest synem pałamara we wsi Jamnie, chłop silny, rosły, w wieku około 30 lat, mieszkał na górze, naprzeciw karczmy, po drugiej stronie gościńca, wiodącego do Mikuliczyna. Zabójstwo popełnił w niezupełnie trzeźwym stanie po kilku flaszkach wypitego piwa w Jaremczu i u siebie w domu z jakimś towarzyszem, nie był jednak w stanie niepoczytalnym. O popełnionej zbrodni nic nie wiedział jego towarzysz. Kapitanczuk położył się był już podobno spać a zerwawszy się koło północy w negliżu pobiegł do karczmy, w której już ciemno było i wszystko pozamykane. Kazał sobie otworzyć pod pozorem, że chce z karczmarzem uregulować rachunek, winien mu bowiem był podobno kilkadziesiąt złr. Karczmarz wyszedł ze świecą a skoro tylko drzwi otworzył, zaryglował je Kapitanczuk i uderzywszy go kamieniem w głowę, powalił karczmarza na ziemię. Potem poszedł do dalszych izb i tam podobno dobytym nożem poranił żydówkę i dwóch żydów a gdy karczmarz, przyszedłszy nieco do siebie, zwlókł się do izby, przestraszony Kapitanczuk uciekł. — Zaraz rano żandarmi skutego mordercę odstawili do Delatyna a po południu zjechała z nim komisya sądowa na miejsce zbrodni. O motywach zbrodni różnie tu mówią, ale to pewna, że nie mają one nic a nic wspólnego z rozruchami antysemickiemi, zwłaszcza, że karczmarz przybył niedawno w te strony z pod Kałusza. Nie można także przypuszczać chęci rabunku, chyba czyn popełniony został w jakimś niewytłómaczonym szale. Kapitanczuk karany był już kilkakrotnie za bójki kilkomiesięcznem więzieniem, w ostatnich czasach jednak miał się zachowywać całkiem spokojnie. Wódki nie pił wcale. W sobotę wieczór widziano go przechodzącego przez Jaremcze z wdową po niedawno zmarłym wójcie jamniańskim, z którą miał utrzymywać stosunki.

Posłaniec Andréego. Wiadomość telegraficzna brzmi, jak następuje: „W dniu tym a tym, w miejscu tem a tem, kapitan okrętu zabił gołębia, który niósł pod skrzydłami kartkę Andréego, okazuje się z niej, że Andrée itd.“ Jeżeli więc wiadomość telegraficzna prawdę mówi, posłańcem Andréego z lodów podbiegunowych był gołąb, biały gołąbek, któremu starożytni kazali służyć nie podróżnikom podbiegunowym, ale Wenerze. Oczywiście nie jest to gołąb taki, jakim go matka przyroda stworzyła, ale gołąb odpowiednio przygotowany, odpowiednio tresowany, gołąb bardzo niezwykły.

Nie myślcie, aby gołąb pocztowy należał do zdobyczy XIX-go wieku. Przeciwnie, już Grecy, Rzymianie i Arabowie znali gołębia tresowanego. Wprawdzie używali go jako posłańca na małych tylko przestrzeniach, ale pochodziło to nie z wadliwości tresury, a stąd, że przy słabo rozwiniętych środkach komunikacyjnych przenoszenie gołębi na dalszą odległość wymagało zbyt wiele czasu.

To też gołąb pocztowy, z małemi bardzo wyjątkami, odgrywał niezmiernie skromną rolę w wiekach poprzednich. Dziś jest on pierwszorzędnym środkiem komunikacyi listowej tam, gdzie poczta żadną miarą dochodzić nie może, zarówno na morzu, jak pod biegunami północnym i południowym.

W końcu wieku XVIII-go największą sławą pod względem hodowli gołębi pocztowych cieszyły się miasta Antwerpia i Leodium. Ptaki hodowane w tych miastach przebiegały do 1820 metrów na minutę, licząc odległość z punktu wysłania do punktu przybycia w linii prostej, tak bowiem zawsze obliczają odległości hodowcy gołębi. W ostatnich latach hodowla gołębi pocztowych udoskonaliła się znacznie, wymagania zaś stały się logiczniejsze. Dziś już nikt nie żąda od gołębia szybkości bajecznej, ale zadowala się szybkością 60—70 kilometrów na godzinę. Deszcz, mgła, wiatr, zaburzenia atmosferyczne — wszystko to przyczynia się do spóźniania się, a nawet przepadania gołębi pocztowych. Zaburzenia w atmosferze są niekiedy tak znaczne, iż zupełnie gołąb zoryentować się nie może co do kierunku lotu i często nawraca do punktu wyjścia, zamiast dążyć naprzód. Nie każdy gołąb nadaje się do tresury. Przedewszystkiem bardzo wiele znaczy tu rasa, później zaś mniejszy lub większy rozwój zdolności oryentowania się. Niekiedy przy próbach wstępnych opróżniają się całe gołębniki, tak, że z dziesiątków ptaków jeden zaledwie pozostanie do prób dalszych. Ale na tego jednego, który raz dał dowody uzdolnienia, rachować już można nadal zupełnie napewno.

U nas sport gołębi uprawiany jest wyłącznie przez hodowców pojedyńczych, nie łączących się w grupy, ani w całości klubowe. Za granicą dzieje się inaczej. We Francyi każde miasteczko ma swoje „Societé colombophile“, w Niemczech stowarzyszenia hodowców gołębi otrzymują znaczne subsydya od rządu, największemi zaś względami cieszą się gołębie w Ameryce, gdzie w niektórych stanach istnieją osobne kary za strzelanie do gołębi.

Gołąb pocztowy na wojnie może oddawać bardzo znaczne usługi, ale i w czasie pokoju przy odpowiedniej tresurze zdolności jego powinny być wyzyskiwane. Na przestrzeni 30 — 50 kilometrów stała komunikacya gołębia z łatwością może być zaprowadzona. Ideałem hodowcy jest, mieć gołębie tresowane do podróży tam i z powrotem.

Nie tylko listy, ale i przedmioty lżejsze przenosić mogą gołębie pocztowe. Oto np. co opowiada bardzo poważny hodowca Thauziès. Było to w roku 1892 gim w willi nad brzegiem oceanu we Francyi. Pan X., przybyły tego ranka z Bordeaux, oczekiwał na śniadanie grona gości, które przybyć miało o godzinie 11 m. 30 przed południem. Przed 11-tą p. X. spostrzega, że nie ma kluczyka od piwnicy, w której przechowywane było wino. Co tu robić? Do wina dostać się niepodobna, bo drzwi od piwnicy żelazne, a zamek z sekretem! Najbliższa stacya kolejowa oddalona jest o 10 kilometrów, a Bordeaux o 25! Strapiony X. biegnie do sąsiada, zapalonego hodowcy gołębi pocztowych.

— Ależ nic prostszego! — zapewnia sąsiad — za pół godziny będziesz pan miał kluczyk. Napisz pan list do służącego w Bordeaux.

Tak się też stało. Gołąb przy wietrze pomyślnym w 15 minut był na stacyi gołębiej w Bordeaux, wyszukanie kluczyka zajęło 10 minut, powrotna podróż drugiego gołębia z Bordeaux z kluczykiem, przywiązanym do skrzydła, zajęła 25 minut czasu. Słowem w 45 minut, to jest w chwili, gdy goście wysiadali z pociągu, piwnica była otwarta i wino ustawione na stole.

Oczywiście kluczyk od kłódki był bardzo mały, a gołąb wyjątkowo silny i wyjątkowo dobrze tresowany.

Zmarli. We Lwowie, Emilia z Geyerów Błażkowa, żona inspektora kolei państwowej, lat 55. — W Remenowie, Czesław Lekczyński, właściciel dóbr, członek Rady nadzorczej gal. Tow. kred. ziemsk., członek Rady pow. lwowskiej, b. prezes oddziału lwowsk. galic. Tow. gospodarczego, lat 71.

Stan powietrza. T. o g. 8 rano +14 w poł. +18 R. Bar. 765. Spada. Pochmurno.

Czego się to nie robi dla kompanii?

Trzej partnerzy razem wyjechali
Do Karlsbadu dla zdrowia ochrony,
Czwarty partner sam w klubowej sali,
Jak sierotka został opuszczony.
Zdrów jest wprawdzie, lecz co mu po zdrowiu,
Kiedy serce jest w ciągłej żałobie
I posępny jak księżyc na nowiu
Swych partnerów nie widzi przy sobie.
Saken-paken! więc manatki kładzie
I jak bocian wyciągnąwszy szyję
W lot się puścił i teraz w Karlsbadzie
Dla kompanii także *Sprudel* pije.

Szczyt egoizmu.

— Dajże pokój! nie rzucaj na chodnik pestek od śliwek, bo można łatwo pośliznąć się i nogę złamać.

— Oooo, mój kochany, nie marudź! Przecież ani ja, ani ty nie będziemy już dziś przechodzić tą ulicą.

Repertuar teatru letniego. Dziś w poniedziałek „Primaballerina,“ krotochwila w 3 a. E. Bluma i R. Toché.

Literatura i sztuka.

* **Z teatru.** „Robert i Bertrand,“ czyli dwaj złodzieje, zapełnili onegdaj i wczoraj teatr letni liczną publicznością i doskonale ją ubawili. Szkoda tylko, że sztukę tak poobcinano, iż gdzieniegdzie gubił się związek faktów, co wobec epizodycznego z natury już charakteru sytuacyi i wątłego jej połączenia w tej sztuce dziać się musiało łatwiej niż w jakimś innym utworze, gdzie związek nie jest tak luźnym. Bohaterami obudwu wieczorów byli pp. Szymborski i Nowacki, których znakomity humor udzielał się publiczności i manifestował się u niej co chwila salwami oklasków. Pierwszy z nich był przepysznym Bertrandem, drugi zaś równie znakomitym Robertem. Z reszty artystów, którzy ogółem grali dobrze, wyszczególnili się p. Neumann jako bankier Pimpelmejer i panna Ogińska w roli córki jego „Szarlotty“. Publiczność nagradzała artystów po każdym akcie kilkakrotnem wywoływaniem przed kurtynę, a p. Nowackiemu wręczono onegdaj po drugim akcie wspaniały bukiet z szarfami i napisem: „Od wielbicieli“.

Odezwa.

Miasteczko Skałat nawiedzone zostało w dniach 16, 17 i 18 sierpnia strasznym pożarem, który mimo najenergiczniejszych wysiłków ludności przez 3 dni szalał w najbiedniejszych dzielnicach miasta i zamienił w zgliszcza z górą 200 domów. Przeszło 2000 osób znalazło się wskutek tej klęski bez dachu i kawałka chleba, a położenie pogorzelców jest tem straszniejsze, iż pożar pochłonął również całą krescencyę tegoroczną już zebraną. Wobec rozmiarów tej klęski zawiązał się w miejscu komitet ratunkowy, który za zezwoleniem namiestnictwa postawił sobie za zadanie drogą składek publicznych, oprócz niesienia doraźnej pomocy pogorzelcom, przyjść także z pomocą celem odbudowania spalonej części miasta. W tym celu apeluje podpisany komitet do znanych z ofiarności obywateli naszego kraju z prośbą o nadsyłanie na ręce starosty na powyższy cel choćby najdrobniejszych datków, za które też z góry zasyła serdeczne „Bóg zapłać“.

W Skałacie 25 sierpnia 1898.

Przewodniczący komitetu:

Eustachy Zagórski — Prezes Rady powiatowej.

Antoni Szydłowski — Kierownik starostwa.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 27 sierpnia.

(Z.) Stagnacya na naszym targu, osłabienie się tendencyi w Berlinie, tudzież pogłoska, że Anglia zamierza urządzić na wybrzeżach chińskich demonstracyę floty, aby tem skłonić rząd pekiński do spełnienia jej życzeń — wytworzyły od pierwszej chwili otwarcia obrotów intensywny prąd zniżkowy. Oporu nikt mu nie stawiał, gdyż zarówno ze względu na niewyjaśnioną jeszcze kwestyę odnowienia ugody jak i ze względu na to, że eksport zboża węgierskiego dotychczas wcale się nie ożywia, spekulacya uważa za właściwe nie opuszczać swego stanowiska wyczekującego. Cedułka giełdowa wykazuje też dzisiaj zniżkę kursów na całej linii. Zagraniczne targi były dziś również w słabem usposobieniu. — Z Paryża donoszą, że tamtejsze sfery finansowe z niecierpliwością oczekują zebrania się konferencyi pokojowej i jej decyzyi co do tego, kto ma przyjąć na się zapłatę długów ciężących na Kubie: Stany Zjednoczone czy Hiszpania. Obligi bowiem długu hiszpańskiego ulokowane są przeważnie we Francyi. Są dwie kategorye tych obligów: jedne emitowane w r. 1886, a drugie w r. 1890. Pierwsza emisya z r. 1886 (6%) obejmowała 620 milionów pesetów w złocie, z tego spłacono do tej pory 37 milionów, znajduje się więc w obiegu 583 milionów. Wypuszczono te obligacye po kursie 422 za 500 a dzisiejszy ich kurs jest 219. Druga emisya z r. 1890 jest 5-procentowa i obejmowała 775 milionów pesetów w złocie, z czego spłacono 18, tak, że pozostaje jeszcze 757 milionów. Początkowo miały obligi tej emisyi kurs 467 za 500 dziś stoją na 166. Razem zatem jest w obiegu obligów kubańskich za 1.340 milionów pesetów. Na oprocentowanie i amortyzacyę obligów pierwszej emisyi wydawała Hiszpanie dotychczas 39 milionów, a drugiej emisyi 51 milionów pesetów w złocie. Przed dwoma miesiącami uchwaliły kortezy ustawę, wedle której procenta od długu kubańskiego mają być płacone papierowemi pesetami a nie złotemi.

Ostatnie notowania: Kredyty austr. 359·50 węgierskie 396·—. Anglobanki 157·50, Uniony 295·—, Bankverein 268·—, Länderbanki 225·—, Ludwiki 310·65, Czerniowieckie 294·—, Elbethale 266·—, Renta papierowa 101·65, srebrna 101·55, austryacka złota 121·50, austr. renta wal. kor. 101·40 węgierska złota 120·70, węgierska renta wal. kor. 98.50, dukat 5·64, 20 frankówka 9·53 — marki 11·75—, rubla 1·27½.

Ceny zboża. Wiedeń 28 sierpnia. Pszenica na jesień 8·33—8·38, na wiosnę 8·27—8·30; żyto na jesień 6·75; owies na jesień 5·66, 5·68; kukurudza na wrzesień-październik 5·30, nowa 4·72—4·74; rzepak na sierpień-wrzesień 12·80—12·90. (Przeciętna cena z całego tygodnia 19·55—19·70).

Telegramy Przeglądu.

Wiedeń 29 sierpnia. Wczoraj przyjmował Cesarz na półgodzinnej audyencyi ministrów: Thuna, Kaizla, Baernreithera, Banffy'ego i Lukacsa. Dotychczas nie zapadła jeszcze ostateczna decyzya co do sposobu postępowania w celu doprowadzenia do skutku ugody. — Bar. Banffy złożył wczoraj wizytę hr. Gołuchowskiemu.

Peszt 29 sierpnia. Dziennik *Pesti Naplo* donosi, że w obecnem stadyum rokowań stanowisko obu rządów jest następujące: Węgry żądają: zwołania parlamentu austryackiego, uznania przez Austryę w zasadzie prawa Węgier do samoistnego urządzenia celnych stosunków i przedłożenia ugody do roku 1903; Austrya zaś żąda podwyższenia kwoty płaconej przez Węgry na wspólne wydatki do 38½%, tudzież modyfikacyi projektów ugodowych hr. Badeniego, zwłaszcza co do podatków konsumcyjnych, przepisów weterynarskich i taryfowych.

Berlin 29 sierpnia. Władze pruskie w Szlezwiku otrzymały rozkaz stosować względem ludności duńskiej mniej więcej takie same środki represyjne, jakie stosowane są względem Polaków w księstwie poznańskiem. Utworzono nawet, bez uchwały parlamentu, na małą skalę komisyę kolonizacyjną, która wykupuje ziemię z rąk Duńczyków i osadza na niej kolonistów niemieckich. Przed kilku dniami zakupił rząd wielką posiadłość Sundboellgaard, położoną tuż na granicy Danii, rozparceluje ją i rozda między sprowadzonych kolonistów niemieckich.

Moskwa 29 sierpnia. Wczoraj odsłonięto tu uroczyście w obecności cara, carowej, wielkich książąt i reprezentantów obcych monarchów pomnik Aleksandra II. Car wydał ukaz, wedle którego prawo noszenia medalu, nadanego tym, którzy pomagali Aleksandrowi II w dziele usamowolnienia włościan, jest dziedziczne i przechodzi z ojca na syna. Wieczorem iluminowano całe miasto. Dziś odbędzie się parada wojskowa, a następnie otwarcie muzeum sztuk pięknych imienia Aleksandra III.

Petersburg 29 sierpnia. Urzędowy *Prawit. Wiestnik* donosi, że z polecenia cara wręczył minister spraw zagranicznych hr. Murawiew akredytowanym przy dworze carskim przedstawicielom obcych mocarstw notę, w której poruszono myśl częściowego rozbrojenia. Nota ta opiewa jak następuje: „Utrzymanie powszechnego pokoju i zmniejszenie uciążliwego dla wszystkich narodów nadmiernego zbrojenia się jest w obecnej sytuacyi światowej ideałem, do którego osiągnięcia wszystkie rządy dążyć powinny. Car przejęty jest do głębi tą humanitarną wielką myślą, a żywi przekonanie, że takie samo życzenie żywią inne mocarstwa i że ten cel odpowiada ich najżywotniejszym interesom. Chwila obecna, zdaniem rządu rosyjskiego, nadaje się wybornie do tego, aby przez międzynarodowe porozumienie się wynaleziono najskuteczniejsze środki, któreby wszystkim narodom zapewniły uczciwy i trwały pokój, a położyły kres dalszemu bezustannemu powiększaniu się zbrojeń. Pragnienie powszechnego pokoju utrwaliło się nadzwyczajnie w narodach cywilizowanych w ciągu ostatnich lat dwudziestu, utrzymanie go uznano jako cel polityki międzynarodowej, pod jego hasłem zawarto potężne sojusze. Aby tylko zapewnić pokój rozwinęły państwa swe siły zbrojne w rozmiarach, dotychczas niepraktykowanych i coraz dalej idą w tym kierunku, nie szczędząc żadnych ofiar na ten cel.

Tymczasem pomimo tych ofiar pokój przez wszystkich pożądany nie mógł wydać dobroczynnych owoców. Ciężary finansowe bowiem, rosnące ustawicznie, wstrząsają podstawami powszedniego dobrobytu i osłabiają fizyczne i intelektualne siły narodów. — Praca i kapitał pożerane są w sposób nieproduktywny i nie mogą zwrócić się tam, gdzie jest ich naturalne przeznaczenie. — Setki milionów pochłania sprawienie strasznych narzędzi zniszczenia, które, dziś uważane za coś niedościgionego, jutro skutkiem jakiegoś nowego wynalazku tracą wszelką wartość. Tamuje to albo wypacza cywilizacyę narodową, postęp ekonomiczny i rozwój dobrobytu.

Wszystkie przesilenia ekonomiczne mają przeważnie swe źródła w nadmiernych zbrojeniach; to też obecny zbrojny pokój zaczyna już dla narodów stawać się nieznośnym ciężarem. Jasną jest rzeczą, że jeżeli stan teraźniejszy jeszcze dłużej potrwa, to musi to doprowadzić do kataklizmu, o którego zażegnanie wszyscy się starają, a który musiałby być okropnym. Wobec tego najważniejszym obowiązkiem, jaki dziś ciąży na państwach, jest położyć koniec tym nieustannym zbrojeniom się i obmyśleć środki celem usunięcia niebezpieczeństw, zagrażających całemu światu. Temi uczuciami przejęty polecił mi car zaproponować wszystkim rządom zwołanie konferencyi, któraby się zajęła rozwiązaniem tego zagadnienia. Zwołanie takiej konferencyi przy pomocy Bożej byłoby szczęśliwą wróżbą dla nadchodzącego nowego stulecia. Skupione w jednem ognisku starania wszystkich państw dopomogłyby wielkiej idei powszechnego pokoju do zwycięstwa nad żywiołami niezgody i zniszczenia. Nadto także solidarne uznanie zasad prawa i słuszności wzmocniłoby zgodę między państwami“.

Wenecya 29 sierpnia. Papież polecił patryarsze tutejszemu ks. kardynałowi Sarto powitać cesarza Wilhelma II-go podczas pobytu jego w Wenecyi oficyalnie imieniem Ojca św.

Berlin 29 sierpnia. Kierownik niemieckiej wyprawy do bieguna północnego Lerner nadesłał do urzędu kanclerskiego depeszę, w której zawiadamia, że objął w posiadanie dla Niemiec jedną z wysp niedźwiedzich, położoną w połowie drogi między Norwegią a Szpicbergiem, gdyż nadaje się ona wybornie na stacyę dla poławiaczy wielorybów, fok i innych zwierząt oceanu lodowatego.

Londyn 29 sierpnia. Kierownik poselstwa rosyjskiego w Pekinie Pawłow zamianowany został posłem w Korei. Usunięcie Pawłowa z Pekinu uważają powszechnie za sukces polityki angielskiej, gdyż on to głównie krzyżował wszystkie plany Anglii w Chinach i z tego powodu przychodziło nawet do gwałtownych scen między nim a posłem angielskim.

Do miasta Larnake na Cyprze przywieziono onegdaj 1.129 emigrantów rosyjskich z Kaukazu, należących do sekty t. zw. duchoborców, którzy z powodu prześladowania religijnego opuścili swą ojczyznę.

Hamburg 29 sierpnia. W zakładzie kąpielowym Steinwerder na Łabie, odbyła się wczoraj próba z nowym sensacyjnym wynalazkiem niejakiego Quitusa, Czecha z Chebu. Jestto kostyum ratunkowy, chroniący od utonięcia. Na oko nie podobna go odróżnić od każdego innego ubrania ze sukna t. zw. Loden, nie jest też wcale cięższy. Kto ma taki ubiór na sobie, może dowolnie długo utrzymać się na powierzchni wody, a im bardziej przemoknie to ubranie, tem odporniejsze jest. Próba powiodła się wybornie. Podobno główną częścią składową materyi, z której wyrabiane są te ubrania, jest sierść reniferów.

Waszyngton 29 sierpnia. Prezydent Mac Kinley wyjechał stąd wraz z żoną na kilkutygodniowy wypoczynek do majątku swego brata w Somerset w Pensylwanii.

Moskwa 29 sierpnia. Ludność tutejsza urządziła wczoraj wieczorem carowi i carowej serdeczną owacyę podczas przejazdu ich do pałacu wielkiego księcia Sergiusza.

Podczas odsłonięcia pomnika Aleksandra II. padła cała publiczność na kolana w chwili, gdy duchowieństwo prawosławne zaczęło śpiewać pieśni. Gdy spadła zasłona z pomnika zakomenderował car do ustawionego wojska „Prezentuj broń“. Równocześnie dano 320 strzałów armatnich. — Następnie defilowało wojsko przed pomnikiem prowadzone przez samego cara. Publiczność wznosiła okrzyki.

Paryż 29 sierpnia. Dzienniki omawiają inicyatywę cara co do rozbrojenia. Zdania są podzielone, jedne dzienniki pochwalają ją, drugie nazywają chimerą, a inne domagają się, żeby naprzód żądania francuskie zostały spełnione.

Rzym 29 sierpnia. W prasie zdania są podzielone co do poruszonej przez cara myśli rozzbrojenia. Jedne pisma są dla niej bardzo życzliwie usposobione, inne odzywają się z wielką rezerwą, a niektóre wprost niedowierzająco.

HOTEL IMPERIAL.
pierwszorzędny hotel, restauracya i kawiarnia.
Lwów — ulica Trzeciego Maja.

Przyjechali dnia 29 sierpnia. W. hr. Raciborowska i Br. Uexküll z Rosyi. Dyr. W. Burchhard z Wiednia. Dr. M. Mandelbaum z Krakowa. H. Werners z Kolonii. G. Winarsky z Berna. S. Horoszkiewicz z Stanisławowa. S. O. Helmke z Hanoweru. B. Staniewicz z Kowna. A. Broskoretz z Wiednia.

HOTEL ŻORŻA.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 29 sierpnia. Bogumił hrabia Starzyński z Mirkowa. Władysławowie Swieżawscy z Hołuba. Andrzej Horodyski z Kociubiniec. Władysław Płotnicki z Podola. Andrzej Siemiginowski z Majali. Jan Horodyski z Krogulca. Władysław Komorowski z Bojanowa. Jan Wojtowicz z Pesztu. Dr. Leon Ziemiański z Przemyśla.

HOTEL FRANCUSKI
we Lwowie, plac Maryacki.
W nowym zarządzie, zupełnie odnowiony.
(K. Proksch).

Przyjechali dnia 29 sierpnia. Inżynier Tadeusz Faszowicz z Rosyi. Ks. Michał Piotrowski z Sadagóry. P. Korostyński z Sokala. P. Czerkawscy z Podola ros. F. Masek z Poczernitz (Czechy). Hr. Drohojowski z Tarnowa. P. Löwenstein z Drohobycza. F. Paszkudzki z Chorodłowic. P. Schidlof, W. Kleinberger, S. Stern, R. Lustig z Wiednia.

NADESŁANE.
Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów 29 sierpnia. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 209.50 do 213.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 293.00 do 296.00. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 378.— do 383.—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 205.— do 212.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 260·— do 265.—.

Listy zastawne za 100 zł: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat a 10 proc. prem. 110.30 do 111.— 4 i pół proc. los. w 50 lat 100.10 do 100·80, 4 proc. los. w 60 lat 96.50 do 97.20. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.80 do 101.50. Banku kraj. 4 proc. los. w 57 lat 98.00 do 98.70, Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 97.50 do 98.20, 4 proc. los. w 41 i pół latach 97.70 do 98.40, 4 proc. los. w 56 lat 96.10 do 96·80.

Obligi za 100 zł., Gal. fund propinacyjnego 4 proc. 97.80—98·50, Bukowińskiego fund. propin 5 proc. 102.50 do —.—, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.30 do —.—. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97·50 do —.—. Pożyczki kraj. 6 proc. 103.00 do —.— 4 proc. z 1893 r. 97.50 do 98.20, 4 proc. po 200 koron z 1893 roku 96.20 do 96.90.

Monety. Dukat cesarski 5.61 do 5.71. Napoleondor 9.50 do 9.60. Półimperyał 9.47 do 9.57. Rubel rosyjski papierowy 127.30 do 128.40. 100 marek niemieckich 58.60 do 59.10.

55)

O własnych siłach

POWIEŚĆ

przez

D. GERARD.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Hartingh.

(Ciąg dalszy).

W półświetle zapadającego dnia, które łagodziło zbyt ostro zakończone rysy jej profilu, chudość jej konturów mogła uchodzić za wysmukłość dziewczęcych kształtów, a powolny wdzięk jej ruchów za powab młodości. Nie miała ona ani barwy, ani odurzającego zapachu świeżo rozwiniętego pączka, ale posiadała urok poetyczny zasuszonego między kartkami pamiętnika kwiatu.

Bazyli, który przed chwilą błądził w myśli po ścieżkach ojcowskiego ogrodu, odczuł cały subtelny urok tej poezyi, wiejącej z zamierzchłej przeszłości. To też kiedy Flora podeszła do niego z białym kwiatem w wyciągniętej ręce, uznał za bardzo naturalne poprosić, aby mu go sama przypięła do piersi, a w chwili kiedy dłoń jej nieco drżąca dotknęła jego piersi, uczuła silniejsze jego bicie.

Naraz spojrzała mu prosto w oczy.

— Czy chcesz pan zachować ten kwiat do września? — spytała cicho, zdobywając się na nową i nieznaną odwagę.

— Tak — odparł i po kilku sekundach wahania pochylił się i ustami dotknął jej czoła.

— Przez pamięć dawnych czasów — dodał, tłómacząc się, jakby instynkt samozachowawczy ostrzegł go nawet w chwili, kiedy w duchu postanowił poślubić tę kobietę, że bezpieczniej jest zastrzedz się przeciw wszelkim nieprzewidzianym wypadkom.

Flora nie dosłyszała już tych słów; nie zrozumiałaby nawet ich ukrytego znaczenia. Czuła chaos w mózgu, a bezbrzeżne morze rozkoszy w piersi. Po jego odejściu długo jeszcze nie mogła przyjść do siebie.

— Do września? O! jak ona dożyje do tego czasu?... jak? Tym razem trzymała szczęście w swojej dłoni i już go nie wypuści, nie... Do września!

Długie szeregi cieplarnianych krzewów, wśród których stała kobieta w żałobnej czerni, z niebem zachwytu w duszy, zasunęły się całkiem w mroki. Granaty tylko powoli zdawały się potrząsać purpurowemi głowami, a złośliwe, figlarne fuksye wyciągały swoje delikatne, białem nakrapiane języczki, jakby szydząc ze sceny, która tylko co odegrała się przed niemi.

Żartowały sobie może z postarzałej kobiety, która marzyła o tem, iż jest kochaną tak jak za dni pierwszej swojej młodości.

ROZDZIAŁ VII.

Stosownie do życzenia pana Dunneta, Elwira wysłała telegram z drogi, donoszący o dniu i godzinie swego przyjazdu. Zdawało się to zupełnie niepotrzebnem, ale chciała przynajmniej w tem dogodzić zachciance starego prawnika. Jechała prosto do Morton Hallu, nie zatrzymując się wcale w Londynie; wiedziała bowiem, że lady Nevyll spędza zimę w okolicy, a przybyła ona do Anglii jedynie w celu poznania wdowy po Andrzeju.

Dręczona niecierpliwością, podróżowała dniem i nocą bez wytchnienia, ale terez trzeciego dnia podróży, czuła się tak znużoną, że pragnęła jednego tylko, przyłożyć gdzieś głowę do poduszki i spocząć. Ogarnęła ją taka senność, że byłaby prawdopodobnie przejechała stacyę, gdyby konduktor nie był jej obudził. Zerwała się z siedzenia i silnie przetarła oczy. Pociąg wyłaniał się właśnie z ciemności, przechodząc w sferę olśniewających blasków.

— Dziwnie jasno oświetlona stacya — pomyślała sobie w duchu Elwira, spoglądając przez spotniałe szyby na mały kolejowy przystanek, na którym panowało niezwykłe ożywienie. Samotnie stojący wśród pól mały budynek, płonął sztucznemi ogniami, a na maleńkiej platformie cisnął się zwarty tłum wieśniaków z kapeluszami w ręku i oczami wytężonemi w stronę zwalniającego bieg swój pociągu.

— Co się to stało? — spytała Elwira konduktora. — Czy zdarzył się jaki wypadek?

— Nie — odparł. — To tylko dzierżawcy urządzają przyjęcie dla nowego właściciela.

Elwirze nie przeszło nawet przez myśl zapytać, czyi to byli dzierżawcy, ani kto był tym właścicielem, tak owacyjnie przez nich podejmowanym. Było jej to zupełnie obojętnem. Zdjąwszy wytartą swoją torbę podróżną z siatki, wysiadła z wagonu drugiej klasy. To przyszło jej z łatwością, ale dalej nie mogła prawie postąpić kroku. Tłum na platformie cisnął się zewsząd ku wagonowi pierwszej klasy. Naraz grzmiące okrzyki rozległy się w powietrzu; w jednem z okien wagonu ukazała się stara, bardzo brzydka, siwa głowa, ubrana w cudaczny kapelusz — przedmiot zgoła nieodpowiedni do wywołania z setek piersi takiego wybuchu zapału. Zanim głosy dosięgły najwyższego dyapazonu, urwały nagle, a jednocześnie siwa dama i cudaczny kapelusz cofnęły się pospiesznie od okna.

— To widać nie ta — rzekł jeden z włościan do drugiego. — Patrzcie, jak pan Dunnet chce nas uspokoić. Nie spuszczajmy go z oka, żeby wiedzieć, kiedy trzeba będzie huknąć na cały głos.

Elwira słyszała te słowa i obróciwszy się, spostrzegła podstarzałego prawnika, który przyjeżdżał do niej do Marienhofu razem z panem Prell, notaryuszem. Tylko że wtedy twarz pana Dunneta była zupełnie spokojną, a teraz zdradzała ślady silnego poruszenia. Wiatr rozwiewał dokoła siwe jego włosy, a on sam z gołą głową biegał coraz posuwistszemi krokami po platformie, okazując wzrastający niepokój w miarę, jak pociąg po krótkiem wytchnieniu zabierał się do ruszenia w dalszą drogę.

Naraz Elwira zrozumiała całe położenie rzeczy. Z torbą w ręku przystąpiła do pana Dunneta.

— Czy mnie pan szukasz? — spytała dość głośno, aby być usłyszaną przez tłum.

Pan Dunnet drgnął i wytrzeszczył oczy. W tłumie zapanowała chwilowa cisza, wahanie; naraz na widok głębokiego pokłonu, jaki prawnik, ochłonąwszy z osłupienia, złożył przed mówiącą, ogłuszające wiwaty wybuchnęły na nowo, spotęgowane w dziesięćkroć.

— Żeby oni raz przestali krzyczeć — odezwała się Elwira znużona. — Głowa mnie tak boli, że chciałabym jak najprędzej położyć się do łóżka. Czy daleko mamy iść?

— Przecież niepodobna, aby panna hrabianka chciała iść pieszo?

— Więc jakże się tam dostanę? Czy jest jaki wózek?

— Rozumie się, że kareta stoi na rozkazy pani. Niech panna hrabianka pozwoli mi zaprowadzić się do niej.

W jednej chwili dwa szeregi ludu wydłużyły się po obu stronach, otwierając przejście dla młodej dziedziczki, która szła wsparta na ramieniu prawnika.

— Czy ja tu mam wsiąść? — spytała zdumiona, spoglądając na paradną karetę, zaprzężoną w cztery rosłe kare konie i na stangreta i lokaja w liberyi.

Pan Dunnet za całą odpowiedź skłonił się znowu głęboko. Wiwaty zagrzmiały nanowo w powietrzu, gdy kareta ruszyła z miejsca.

— Czego oni tak krzyczą? — spytała Elwira swego towarzysza. — Przecież chyba nie z mojego powodu? A może to taki zwyczaj?

— Zwyczaj wymagałby o wiele więcej owacyjnego przyjęcia, panno hrabianko — tłómaczył pan Dunnet. — Gdyby nie szczególne a wyjątkowe okoliczności, towarzyszące przybyciu pani, urządzonoby jej tryumfalny wjazd. Chciałem już pozwolić na bengalski ognie, ale ze względu na tragiczny koniec ostatniego właściciela, uważałem tę demonstracyę za trochę niewłaściwą i dlatego cofnąłem pozwolenie, bo nie byłem pewny, jak się pani będziesz zapatrywała na to. Mam nadzieję, że nie weźmie mi pani tego za złe?

— Dzięki niech będą Bogu! — wyrwało się z głębi piersi Elwiry. — Iluminacya byłaby raziła moje oczy, podczas gdy te wrzaski rażą tylko uszy.

— A jednak widok byłby wspaniały — odparł z pewnym żalem stary prawnik, bo honor rodziny, w usługach której pozostawał całe życie i wszystko, co dotyczyło podniesienia jej zewnętrznego splendoru, leżało mu bardzo na sercu. — Przedewszystkiem wzniesionoby na stacyi łuk tryumfalny, którego kolumny byłyby obwinięte wieńcami z kwiatów i zieleni; byłby też oświetlony napis zamiast lampionów, które jedynie pozwoliłem pozapalać. Przytem byłaby konna eskorta, złożona z głównych dzierżawców i oficyalistów, towarzysząca karecie po obu stronach drogi. Domek odźwiernego byłby, rozumie się, cały oświetlony; drugi łuk stałby przed bramą, przed tą właśnie, przez którą teraz przejeżdżamy.

— A więc dojeżdżamy już? Gdzież jest moja torba? — spytała Elwira.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fiałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Maniecki Spółka hotel Zorza. Zarządca W. Hodak.